

M. KONOPNICKA

POD PRAWEM.

MARJA KONOPNICKA.

POD PRAWEM

WYDAWNICTWO I DRUK DZIENNIKA LUDOWEGO
959 MILWAUKEE AVE., CHICAGO, ILL. 1911 ROKU

I.

Strażnik drzwi za nią zatrzasnął i klucz przekręcił w zamku.

Obejrzała się na lewo, obejrzała na prawo i ściągnęła ku twarzy grubą wełnianą chustkę, która jej okrywała głowę i ramiona.

Ulica była prawie pusta. Wróble tylko świergotały hałaśliwie pod gzymsami więziennego gmachu, zdala dolatywał huk ciężkich węglarskich wozów, a pies wartownika, chodzącego z karabinem na ramieniu przed budką strażniczą, tarzał się w kurzawie, ziewając i kłapiąc pyskiem.

Na odgłos zamykającej się furty, żołnierz odwrócił głowę, popatrzył na dziewczynę wyblakłymi oczyma sołdata i znów rozpoczął swoją wędrówkę, "zapiewając" zcicha i spluwając przez zęby.

Stara Żydówka, siedząca wprost więzienia przy straganie, złożonym z miski kwaszonych ogórków i miarki pestek dyni, obliczała zarobki swoje, wygarniając zaśniedziałe miedziaki ze skórzanej, wiszącej u pasa torby na wytłuszczony fartuch i mrugając szybko czerwonymi, ogołoconymi z rzęs powiekami.

Parno było. Sierpniowe słońce przypiekało mocno, jak to przed deszczem bywa. Dziewczyna zeszła

zwolna po schodkach, zwróciła się na prawo, a uszedłszy kilkanaście kroków wzdłuż żółtego więziennego muru, stanęła i oparła się o niego plecami.

Nogi się pod nią trzęsły, powietrze ją odurzało. Od czasu ostatniego tyfusu miewała nagłe takie zawroty, od których jej w uszach dzwoniło, jakby na pacierze, a przed oczami robiło się czarno, jak w najczarniejszą noc.

Chwilę tak stała, kiedy lufcik kancelaryjny otworzył się z brzękiem, a w nim ukazała się kwitnąca okolona pięknym zarostem twarz pana nadzorcy.

— Hanka! Hanka! Blacharzówna! — zawołał dźwięcznym głosem.

Dziewczyna odwróciła głowę, a w ruchu tym spadła jej wielka owa chustka, odkrywając przerzedzone włosy ciemne i twarz szczupłą, zmędzniałą.

— A chodźno tu bliżej! — przemówił życzliwie pan nadzorca.

Schyliła się, podjęła z ziemi opuszczone pod murem zawiniątko i podeszła w milczeniu do okna.

— W Sękocinach dziś staniesz, a może i w Tarczynie, a jutro w południe żebyś mi w Grójcu była. Księżyc teraz, możesz nocą iść.

— Pójdę, proszę wielmożnego... — przemówiła dziewczyna.

— A nie bałamuć mi się gdzie po drodze, niech cię Bóg broni, pamiętaj! Prosto mi do magistratu ruszaj i melduj się "w pobyt". Do Grójca cię posyłam, bo tam najwięcej pobytowych, raźniej ci będzie.

— Dziękuję, wielmożny panie...

— A kartki do magistratu nie zgub. Panu burmistrzowi ją oddasz, albo panu sekretarzowi, wszystko jedno. Dadzą ci tam "rozpiskę", papiery twoje już poszły. Nie ślę cię z partją, boś się sprawowała dobrze. No, i ta noga zresztą... Jakże? boli jeszcze?

— Iii... niebardzo, proszę wielmożnego — odpowiedziała dziewczyna.

Noga wprawdzie bolała ją tak, jakby kto świecami piekł, ale nie wiedziała, czy jej to powiedzieć wypada.

— No, kiedy tak, to ruszajże z Bogiem! — dorzucił pan radca łaskawie i cofnął z okienka głowę.

Dziewczyna przysiadła na ziemi; wyjęła z zawiniątka starą chuścinę, w której rogu zawiązana była owa kartka do magistratu i wsunęła ją głęboko w zanadrze, odsłaniając pierś drobną, szczupłą i grubą, niedobieloną koszulę.

Podniosła się potym, spojrzała z niepokojem na słońce, jakby miarkując, ile jej czasu do wieczora zostało i zaczęła przed siebie iść, zwolna zrazu, potym coraz szybciej, w miarę jak nogi jej, nawykłe do powolnych i ograniczonych ruchów, prostowały się i odzyskiwały sprężystość na swobodnej przestrzeni.

Odzienie jej było nędzne. Jakaś wyblakła nieokreślonej barwy, wystrzępiona miejscami u dołu spódnica zwieszała się z jej wąskich bioder; fartuch miał po sobie różnobarwne łatki; szczupłe jej ręce gubiły się w rękawach zbyt wielkiego na nią, mocno wyszarzanego kaftana; bose nogi, z których jedna przewiązana była powyżej kostki grubą płócienną szmatką, tkwiły w niskich ciżmach; wielka wreszcie owa chustka zdawała się ciężarem swoim całą jej postać przygniatać do ziemi.

Ulica, którą szła Blacharzówna, rozciągała się na wschód i zachód miasta długą perspektywą domów i domków. Odległa od większych arterji ruchu, chwilowo tylko huczała dalekimi odgłosami przeczznie, natężając swoje łoskoty stopniowo i stopniowo gubiąc je w oddali. Jedyny turkot, jaki się tu często słyszeć dawał, sprawiały wózki z lichym owocem,

ciągnione na szlejach przez ubogich handlarzy w brudnych chałatach i okrzykiwane wrzaskliwie przez idącego obok pomocnika. Jeżeli się zaś ukazała dorożka, wszyscy już naprzód wiedzieli, że stanie przed gmachem więziennym. Gmach ten stanowił istotnie główny punkt ulicy, a żółte jego mury rzucały na nią cień jakiś posępny. Idąca spiesznie dziewczyna zdawała się unosić coś z tego cienia na swojej pochylonej,, okrytej grubą chustką głowie. Idzie, nie podnosząc oczu od szarych brukowych kamieni, do których sama w jakiś nieokreślony sposób zdaje się być podobną. Na zachód idzie, wprost słońca, a chociaż skwar mocno przypieka, ona raz po raz ściąga ku twarzy swoją grubą chustkę, jakby pod nią zniknąć chciała. Przebiegający mimo chłopak rzeźniczy szturknął ją kułakiem pod żebro; nie spojrzała nawet na niego, jakby to było rzeczą całkiem naturalną.

Idzie i medytuje...

...Oj więzienie, więzienie, ludzkie odmienienie!... Kiedy ją brali, zabijać się chciała, głodziła się, o mur głową tłukła. Teraz, jakby się w niej co przemieniło, ni ona żalu, ni ona radości, ot jak ten kamień w polu... Trzy lata, całuśkie trzy lata... Właśnie jakby jej kto u Pana Boga wytrącił...

Oj głupia, głupia, na co jej to było? Nie mogła to, jak inne dziewczęta, uczciwie służyć? Nie mogła to między ludźmi bez zaprószenia oczów, śmiało w poczciwości chodzić? A ot w jaką się oblokła koszulę! Psi by na nią wyli, żeby ją poczuli. Ojcowie by się w grobie przewrócili, żeby wiedzieli, po jakich to ona sądach, po jakich urzędach oczami świeciła...

Oj najadła się wstydu, najadła, jako piołun, ziela gorzkiego...

Oj głupia, głupia, głupia...

Wzdycha jakimś ciężkim, do jęku podobnym

westchnieniem i, niezwalniając kroku, kiwa głową, jakby w wielkim politowaniu nad sobą i głupotą swoją. Naraz lekka czerwoność występuje na jej twarz szczupłą i śniadą.

...Pietrek... Gdzie się teraz Pietrek obraca? Albo się z rudą Baśką ożenił, albo ze wszystkim na pana wyszedł. Czy tak, czy owak, już on dla niej stracony. Jako ten wiatr, co przewieje — jako ta woda, co przepłynie, taki on dla niej stracony.

Chłopak był jak malowanie. W paletocie chodził, papierosy palił, ręce w kieszeni trzymał, kamasze szpicami wystawiał, jak urzędnik jaki. Albo mu to i urząd dziwota? Pisarzem w gminie — powiada — był, we dworze do stołu siadał, tylko że go potym przez złość wygonili. Kiedy do niej zaczął chodzić, dziewczęta z całej kamienicy zazdrościły jej takiego kawalera. A on się tylko uśmiechał i wąsiki kręcił. — Będę się z tobą żenił, Hanuś — mówi — boś mi się okrutnie spodobała — mówi. A ona jemu: Gdzieby się zaś pan Piotr ze mną ożenił, kiedy ja biedna dziewczyna. — A on znowu: Co tam, biedna, nie biedna, to jeszcze niewiadomo. Jak w głowie rozum jest, to i pieniądze się znajdą. W rękach chleb, u ludzi pieniądze...

Oj polubiła go, polubiła! Na śmierć polubiła. A żeby on nie klucza od pokojów chciał, ale życia od niej chciał, toby mu je dała. Tak go polubiła!

Jakoś się to już przez kwartał ciągnęło, aż tu raz państwo do teatru jadą, a mój Pietrek do niej. — Będę się z tobą żenił, Hanuś, jeno mi w tym dopomóż. Jak mi nie dopomożesz, tak idę do Baśki. — A Baśka służyła w trzeciej kamienicy. Co się nie naprosiła, co się nie naperswadowała, a on nie i nie. — Albo mi ty dopomóż, albo mi Baśka dopomoże. Dasz klucz — będę się żenił, nie dasz klucza — do Baśki idę.

A też i dała. Jak dała, tak mój Pietrek do pokojów, a ona ze schodów i w bramę. Nie mogła w kuchni usiedzieć. Stanęła w bramie i patrzy, czy państwo nie wracają, a tu ją febra tak trzęsie, że ząb zęba nie dostaje. Wyszła stróżka, zagadała, a ta ani rusz, tylko językiem zeschłym w gębie obraca, a w piersiach jej serce młotem wali, a zimno i gorąco po niej chodzi, a wszystko w niej dygocze, aż się o bramę oprzeć musiała, żeby ją z nóg nie zwaliło.

Nie długo czekający, patrzy, aż tu Pietrek idzie. Futro na nim pańskie, głowa do góry, kapelusz na bakier, cygaro w zębach, ręce w kieszeniach — pan a pan. Tylko mu z pod futra coś sterczy u lewego boku. Zmrok już był ale zaraz poznała, że szkatułkę niesie. Klasnęła w ręce — Pietrek... Pietrek... — mówi A on nic. Idzie sobie z paradą, jakby jej nie widział. Uczepiła mu się rękawa, otrząsnął ją tylko. Aż tu brzdęk, wyleciała mu srebrna łyżeczka z zanadrza. Schyliła się po nią. — Bój się Boga, Pietrek — mówi — to ty i srebro?... — A on do niej: poszła won! — i ruszył naprzód, zębami tylko zgrzytnąwszy.

Zapomniała o domu, zapomniała o państwie i poleciała za nim, jakby opętana, przez jedną ulicę, przez drugą, aż go dopadła pod ostatnią latarnią, kiedy szkatułkę pod prawą pachę przekładał. Bez pamięci była, bez tchu, w uszach jej wiatr świszczał, w gardle zaschło, chciała krzyczeć: łapaj, trzymaj! — ale jej język jakby kołem stanął. Jak go dopadła, tak się o latarnię sparła, przełknęła ślinę i mówi: Pietrek, co ty? To ty tak beze mnie wędrujesz? — A on: Poszła, złodziejko! — I jak stał, tak się odwrócił. Załamała ręce.

— To to ja złodziejka? — mówi — A on: Nie ten złodziej, co kradnie, ale ten, co złodzieja puszcza. — Tak ona do niego:

— Bój się Boga, Pietrek! — mówi — co ty gadasz? Co w ciebie wstąpiło? A przecie się żenić mamy! Pietrek! — I nuż go się czepiać i nuż lamentować. A on: Poszła nazad, suko! — Jak też nie zaklnie, jak ją nie pchnie w piersi kułakiem, tak ją zaraz zamroczyło i na ziemię padła.

Jak się podniosła, jak dowlokła do domu, nie wie sama. Chciała zrazu uciekać, ale tak się jej zdawało, że się świat skończył za tą latarnią, gdzie ją Pietrek pchnął, i że już bieżeć niema gdzie. Została. Wracają państwo, rwetes, krzyk... futra niema, srebra niema, pieniędzy niema. Trzęsą, szukają, aż znajdują u niej oną łyżeczkę w kieszeni, co ją za Pietrkiem podniosła. Jak też znaleźli, tak zaraz na nią zakrzyknęli i do sądu ją oddali. Oj, co się napłakała, co się napłakała! A przecie nie wydała Pietrka. Takie w niej było dla niego kochanie. Trzy lata przesiedziała w więzieniu, a on się ani słóweczkiem do niej nie ozwał, ani co przez ludzi nakazał... Zupełnie, jakby nie żyła. Co ją nie nameczyli, co ją nie naturbowali! Gdzie pieniądze i gdzie pieniądze! A ona, jak ten pień przed nimi. Co sobie wspomni, jak ją pchnął, jak na nią "poszła, suko!" krzyknął, to ją ledwie krew nie zaleje i wnętrzności się w niej przewracają, tak, że inoby zaraz wszystko powiedziała...

Aż on znów przed nią jak żywy stoi, ręce składa i tak jakby go słyszała: Hanuś — mówi — żenić się z tobą będę — mowi, i inne słóweczka łagodne, jakby z pod serca wybrane. I taka ją wnet żałość zdejmuje, że tylko w ziemię patrzy i nic nie gada... A tu ją po urzędach opisują, po śledztwach włóczą, duszę by z niej wypruli, żeby mogli...

Aż i wysiedziała swój termin.

— Oj Pietrek, Pietrek! Oj nauczył on ją na całe życie rozumu, nauczył!

Zaciska kurczowo splecione ręce, aż jej w stawach trzeszczy i podnosi ku zniżającemu się słońcu stroskane, głęboką obwódką podkrążone oczy.

Niech mu Bóg nie pamięta, ale ją równo skrzywdził, równo ją skrzywdził...

I z tą myślą o krzywdzie naciąga swoją chustkę głębiej jeszcze, wzdycha ciężko i, nie zważając na chorą nogę, zaczyna iść bardzo szybko.

W miarę jak idzie, wielkich kamienic coraz mniej, niskich domostw coraz więcej i coraz brudniejsze szynki. Tu i ówdzie bawią się gromadki zasmolonych dzieci. Hanka patrzy na nie, przechodzi, odwraca głowę i nie wiedząc sama co robi, uśmiecha się do nich. Jest to jej pierwszy uśmiech od lat trzech. W więzieniu śmiech słychać często: wyuzdany, szyderczy, idjotyczny, wstrętny, rozlega się on codziennie w izbach i po kurytarzach. Ale uśmiech jest rzeczą rzadką, niewidywaną prawie. Zapominają go nawet dzieci przy piersiach matek w siwych, więziennych kubrakach, nawet umarli nie mają go na twarzy. Dzieci budzą się i zasypiają posępne, przerażone, odęte; umarli odchodzą groźni, mściwi.

Hanka spogląda na słońce i przyspiesza kroku.

Teraz po obu stronach ulicy widać już tylko parkany pobielone wapnem, wkrótce i one znikają, przyległe zaułki rozbiegają się w szeroko rozgrodzone przestrzenie, a choć bruk się kończy, podmiejskie szynki, garkuchnie i bawarje coraz tylko nieschludniejsze, dotrzymują placu.

Do jednej z bawarji takich zbliżała się właśnie Blacharzówna, kiedy oszklone do połowy drzwi otwarły się z trzaskiem, a z wnętrza jej wypadły dwie czerwone baby, tarmosząc na sobie chustki, do oczu sobie skacząc i zagłuszając wrzaskiem piskliwą katarynkę, na której przed bawarją grał czarniawy Żydek, nasunąwszy czapkę na tył głowy i szeroko

rozstawiwszy nogi. Za babami buchnął z wnętrza śmiech i gwar pijanych głosów, a we drzwi tłoczyła się kupka mężczyzn, widowisko sobie czyniących z owej zaciętości babskiej.

Już od słów przychodziło do pięści, a kataryniarz coraz piskliwsze z instrumentu swego wydobywał tony, kiedy z szynkownej izby wybiegła młoda, przystojna dziewczyna, dziecko jeszcze prawie i podgiąwszy wysoko spódnicę, zaczęła tańczyć przed kataryniarzem. Ciężki jej, jasny warkocz, rozplótł się do połowy i opadł, głowa się chwiała z ramienia na ramię, ledwie zapięty stanik osłaniał gibką szyję. Nie była widać zupełnie trzeźwą, bo oczy mgłą jej zaszły, a splątany język nie domawiał wyrazów brudnej ulicznej piosnki, którą sobie do tańca wtórzyła.

Kupka dzieci obstąpiła tancerkę i katarynkę. Hanka przystanęła za nimi i patrzała na dziewczynę z dziwem. Poznała ją. Była to Mańka Czerkas, przed rokiem wypuszczona z więzienia, która też swego czasu z partją do Grójca wysłaną została. Ale już i uliczna Herodjada spostrzegła Hankę, stanęła, przytomniej jakoś spojrzała i poleciała do niej, roztrącając dzieci i zataczając się po drodze.

Blacharzówna odwróciła głowę, chciała odejść Ale napół pijana dziewczyna już jej wisiała na szyi i ściskać ją zaczęła.

— Hanka! Jak Bozię kocham, Hanka! Gdzie ty wędrujesz? Dawno cię puścili?... Dawajże gęby, dziewczyno! A tośmy się zeszły!

Hanka odstąpiła krokiem.

— Bój się Boga, Mańka! To ty nie w Grójcu?

— A cóż to ja głupia w Grójcu siedzieć, czy co? — okrzyknęła się dziewczyna. — Psom ogony lepiej wiązać, niż w takim Grójcu siedzieć!

— Toś ty tam nie była?

— Co nie miałam być! Byłam. Przecie mnie z partją pognali. Dwa dni byłam i trzeciego pół. A potym my się wszystkie zebrały i poszły: Józefa poszła, ja, Kwiatosińska poszła, Julka Mikusówna... Same się chłopy zostały. Tylko mój Antek z nami drapnął. — Wybuchnęła szalonym śmiechem. — Czysta komedja! — Zawołała po chwili. — Z taką ci nas paradą prowadzili, że to ha! Myślałam, że nam luminację zrobią. A tu ci jeszcze strażniki wiechci z butów nie powyjmowali, a my już im drapli. A coby tam człowiek robił? To i ty w pobyt? — zagadnęła Mańka.

— A w pobyt...

— A dużo ci wsadzili?

— Oj wsadzili mi, wsadzili... Aże trzy lata

— Fiuuu!... — gwizdnęła Mańka — to ty tam burmistrzowa zostaniesz! — i zaczęła się śmiać niepohamowanie, po bokach się rękami biła, głowę w tył przechylała, pokazując gardło białe, wzdęte i drgające. Śmiech ten był zaraźliwym, bo stojące nieopodal dzieciaki, same nie wiedząc czego, wybuchnęły także cienkim, piskliwym śmiechem. Mańka zwróciła się ku nim.

— Ciszej, pędraki! — fuknęła, tupnąwszy nogą. Dzieciaki zaczęły przedrzeźniać ją, skacząc i wykrzywiając się jak małpięta.

— Cóż ty? — zagadnęła Hanka — u Pazderskich znów siedzisz?

— Ja, u Pazderskich? Przeżegnajże się lewą ręką, dziewucho! A cóżbym ja u Pazderskich robiła? Stara użera się od rana do nocy, czeladzie porozpędzali, same chłopaki, sama koprowina, co jeszcze w zębach koszule nosi. Co jabym tam robiła? A choćbym też do nich chciała, jak nie chcę, to mnie przecie bez meldunku trzymać nie będą.

— No, a gdziesz się obracasz?

— A toć widzisz, w szynku się obracam, kiedy grają! — parsknęła znów Mańka szalonym śmiechem.

I ujęła się pod boki, jakby tuż zaraz w taniec puścić się miała.

Blacharzówna kiwała głową, patrząc na nią smutnie.

— Oj Mańka, Mańka! Aż po mnie ciarki chodzą od twojego śmiechu.

Mańka rzuciła ramionami.

— Cóż ty, głupia, chcesz, żebym płakała, czy co?

— Juścić tu chyba ciągle nie siedzisz? — zagadnęła.

— Co mam siedzieć? U Bamblowej siedzę. Bamblowa mnie bez meldunku trzyma, to i siedzę. Dziś się babie wyrwałam do Antka, to aż tu przygnała za mną, jędza. O, patrzaj ino, jakie ci to piekło robi z tą drugą o Józefę...

Blacharzówna klasnęła w dłonie; śniada jej twarz nagłą czerwienią zaszła.

— Bój się Boga, Mańka! To ty u Bamblowej siedzisz? A dyć to ciężki grzech i wstyd...

— No, to co mam robić? Iść do Wisły, utopić się, czy co? — Poczerwieniała, roześmiała się i nagle wybuchnęła gwałtownym płaczem.

W tej chwili właśnie jedna z kłócących się bab skoczyła do niej, chwyciła ją za ramię i wrzasnęła ochrypłym głosem:

— Nie bałamucić! Nie bałamucić! Dosy tego dobrego na dziś!

Mańka się zaperzyła. W jednej chwili łzy jej obeschły, oczy błysnęły gniewem.

— Co mnie tu Bamblowa będzie szarpać? Cóż to ja sługa Bamblowej, czy co? Jak mi się spodoba, to pójdę, a jak mi się nie spodoba, to nie pójdę! Rozumie Bamblowa?

Baba jednak nie puszczała jej ramienia.

— Dalej, dalej! Nie bałamucić! Do domu, do domu!

— Bambłowa, Bamblowa! — powtórzyła baba — a żeby nie Bamblowa, toby się między złodziejami siedziało.

— Owa! — krzyknęła zuchwale Mańka. — A u Bamblowej to między lepszymi siedzę? Jak się rozgniewam, tak wszystko do djabła rzucę i z Hanką do Grójca pójdę. Ma być pobyt, niech będzie pobyt.

Baba ciekawie nadstawiła uszu.

— To panna w pobyt?

Hanka kiwnęła głową i mimowolnym ruchem naciągnęła głębiej chustkę.

— I panna idzie? — badała dalej baba.

Hanka znów kiwnęła głową.

— Zostań z Bogiem, Mańka! — rzekła i zabierała się odejść.

Ale Bamblowa już się jej za rękaw uczepiła, puściwszy ramię Mańki.

— A to ja pannie powiem — rzekła, bystrym okiem obrzuciwszy dziewczynę — że panna głupstwo robi. To nie dla panny chleb. Co która porządniejsza dziewczyna tam była, to się zaraz wróciła. Kwiatosińska też u mnie siedzi i Mikusówna siedzi. A co mają robić? Trzeba żyć, moja panno, trzeba żyć.

— Bądź zdrowa, Mańka! — przemówiła Blacharzówna, nie odpowiadając babie, i zawróciła się od niej.

Ale Bamblowa zastąpiła jej drogę.

— Ja pannie co powiem — rzekła, opierając jej rękę na piersiach. — Panna jest teraz taka zmizerowana, jak ta kość, co ją psy obgryzą. Ale ja będę ryzykować. Panna możesz u mnie bez meldunku siedzieć, jeść dostaniesz...

Patrzyła chwilę badawczo na spuszczone oczy dziewczyny, a widząc, że się nie odzywa:

— Niech tam! — krzyknęła, uderzając pięść o pięść. — Niech będzie moja krzywda! Oporządzenie nawet dam. Niech będzie moje ryzyko!

Mańka przysunęła się bliżej.

— Albo się zostań, Hanka, albo co...

Hanka próbowała się wyrwać. Bamblowa przytrzymywała ją za chustkę.

— Moja panno, niech panna nie grymasi... Boga nie obrażać, kiedy się pannie taka okazja szykuje. A cóż to, pierwsza panna będzie? czy co? Nie takie poszły na lekki chleb, a korona z głowy im nie spadła. Niech ino panna Boga nie obraża, niech się panna namyśli...

— Puszczajcie! — przemówiła stłumionym z gniewu głosem Hanka.

— Tak panna nie chce?

— Nie!

— A to ruszaj do kaduka! — wrzasnęła Bamblowa. — Jeszcze ty przyjdziesz na moje podwórko! Patrzcie, jaka mi grafini! We więzieniu siedziała, złodziejka, a pyszni się, jakby Bóg wie co... Mańka! a pójdziesz ty dziś do domu, czy nie, ladaco!

— Nie wrzeszczyć ino, nie wrzeszczyć — odrzekła Mańka, — kiedy niema czego! Idź z Bogiem, Hanka! — zawołała za odchodzącą. — A jak będziesz uciekać, to ino do nas, pamiętaj!

I nagle chwycił ją dawny szał, podparła się w boki i zaczęła śpiewać, śmiejąc się jak opętana. Dzieciaka zawtórowały jej wrzaskliwym chórem, kataryniarz coraz szybciej kręcił piszczącą korbą, jeden z pijących w szynkowni mężczyzn wybiegł i chwycił do tańca szaloną dziewczynę. Bamblowa, w przekręconym czepku na głowie, klaskała im w ręce, przysiadając niemal do ziemi.

Hanka oddalała się szybko. Zrazu goniły ją tuż tuż okrzyki owe, śmiechy i klaskania, potym echa ich tylko coraz dalsze, coraz słabsze, wreszcie ucichło wszystko.

Była już w polu. Wszedł księżyc i osrebrzył szerokie przestrzenie, drzewa przydrożne zaczęły szumieć drobnym liściem, gdzieniegdzie wybłyskiwały gwiazdy sine. Tu i ówdzie migotały oddalone światła, tu i ówdzie załopotały skrzydła spłoszonego ptaka, to pies się oszczeknął, to koń kędyś zarżał. Dziewczyna szła, nie spoczywają i choć zmęczona była, przyspieszała kroku, jakby uciekając przed niewidzialną jakąś pogonią. Nareszcie uciszyło się wszystko, ostatnie światła pogasły, a ziemia zaszła świeżością i rosą.

Dziewczyna stanęła i podniosła głowę. Chustka z niej opadła, księżyc obielił jej twarz znędzniałą. Stała tak chwilę i poruszała wargami bez głosu. Westchnęła potym, spuściła głowę, naciągnęła chustkę i wolniej iść zaczęła. Wkrótce postać jej rozpłynęła się w cieniu...

II.

Urzędowe czynności magistrackiej kancelarji w G. były już w pełnym biegu, kiedy Hanka Blacharzówna stanęła w jej progu.

U drzwi szargotało półgłosem kilku Żydków, przeciągając raz po raz w różnych kierunkach grzbiety, brudnymi chałatami okryte, jakby dla ulżenia sobie w jakiejś tajemnej dolegliwości; dalej stał chłop zafrasowany, wzdychający, w parciance samodziałowej, z wysokim biczyskiem w jednej garści, a z czapką półtoraczną w drugiej; jeszcze dalej napół pijana baba, z różą na twarzy, szturchała zmizerowanego wyrostka, który stał przed nią, jakby

do płaczu skrzywiony; w głębi zaś, tworząc tło urzędowe tego obrazu, drzemał na ławie pod piecem strażnik, kiwający się w tył i naprzód, wydający od czasu do czasu silne, urwane chrapnięcie.

Główną ścianę kancelarji zdobił obraz w pozłocistych ramach; pod nim stał długi, pokryty zielonym suknem stół, przy którym pan burmistrz przeglądał świeżą gazetę, bębniąc zlekka po stole palcami pulchnej, białej ręki i nucąc przez zęby jakąś popularną aryjkę.

W samym środku kancelarji, twarzą do zwierzchnika zwrócony, przestępował z nogi na nogę Maczuski, woźny magistratu, wysoki, chudy, pałąkowaty, który ze swoją wyciągniętą szyją i mocno wytrzeszczonymi oczyma zdawał się wyłazić nietylko z munduru, ale z własnej skóry. Jego niezmiernie długie ręce przylegały ściśle po obu stronach kościstych bioder, wzdłuż dolnych kończyn, w sposób, który Maczuski "po szwam" nazywał, a który udoskonalając stopniowo, do takiego mistrzostwa doprowadził, że kiedy stanął w pełnym urzędowym umundurowaniu, zdawał się mieć wszystkie pozory skrzywionego nieco słupa telegraficznego. Przy swojej wiórowatej chudości, Maczuski był wielkim cholerykiem, w powadze służby nad wszystko zamiłowanym a liberalnych momentów pana radcy nigdy nie pochwalał. Dosyć było i w tej chwili spojrzeć na jego dropiate od ospy oblicze, aby odgadnąć, że się w nim aż coś gotuje z powodu owej aryjki zwierzchnika, profanującej oficjalny charakter miejsca, gdzie wszystko "po szwam" być powinno. Niestety, przez szesnaście lat swojego woźnieństwa w G. stary służbista niejednokrotnie miał sposobność przekonać się, że wiele rzeczy "po szwam" tu nie było. Bolał nad tym, jakby nad osobistą krzywdą i obrazą. Ideałem jego był naczelnik milczący, nieu-

gięty, srogi i zawsze — w nocy nawet — zapięty na wszystkie guziki. Pan burmistrz zapiętym na wszystkie guziki nie bywał nawet we dnie, Żydków po ramieniu klepał, w gawędy z byle kim się wdawał, jego samego nieraz za pan brat tabaką częstował; słowem daleki był, bardzo daleki od ideału. Czuł Maczuski, że mu to życie skraca i co kwartał krew sobie puszczać dawał, żeby go żółć w kancelarji nie zalała — jak mówił.

Z kwadrans już stała Blacharzówna u progu, kiedy pan burmistrz gazetę złożył, ręce zatarł, brwi podniósł, na papiery nagromadzone przed sobą spojrzał, ziewnął i co rychlej się od nich odwrócił, oczyma po zebranej u drzwi gromadce powiódł, a zatrzymawszy spojrzenie na Hance, zapytał nagle:

— A co to?

— W pobyt — pospieszył "dołożyć" od siebie Maczuski.

— Taaak?... —— zapytał przeciągle pan burmistrz. — A, to co innego.

Właściwie mówiąc, nie było to nic innego, bo co tygodnia w pobyt przypędzano partje; ale zdawało mu się, że przez powiedzenie takie urozmaici sobie nieco wypadki codziennego życia.

— Rozpiska jest?

Dziewczyna wystąpiła z gromadki, podeszła do stołu, pocałowała burmistrzowską rękę i podała kartkę w milczeniu.

— Hm! — mruknął, czytając i patrząc kolejno to w papier, to na dziewczynę — hm!... Trzy lata!... hm... Łatwo powiedzieć... hm... Co oni sobie w tej Warszawie myślą?...

Zamyślił się i zaczął skubać faworyty, okalające jego podbródek.

— Ano, to i dobrze! — dokończył po chwili.

Pan burmistrz optymistą był z natury i wszystko lubił kończyć dobrze.

Tym razem wszakże słowa zdawały się iść swoją drogą, a myśli swoją. Zadumał się, miał kłopoty. W mieście nagromadziło się tyle pobytowych, że była to jakby kolonja złodziejska, nad którą władza wymykała mu się z ręki. Co wieczór awantury, co nocy kradzieże, pod miastem rabunki. Straż ziemska, z Fedorenką na czele, rady sobie dać nie może. Całe szczęście, że tałatajstwo to napowrót do Warszawy ucieka...

Popatrzył na Hankę z pod oka, jakby miarkując, czy i ona drapnie — pobębnił palcami po stole, parę razy jeszcze chrząknął, wreszcie wygiąwszy się w kierunku drugiego pokoju, zawołał:

— Panie Aleksandrze! Panie Kosicki!

We drzwiach przeciwległych wchodowi stanął niski, szczupły blondyenk, z grubym, zadartym nosem i wzgardliwie wydętymi wargami. W krótko przystrzyżonej, szczeciniastej jego czuprynie błękitniał jeszcze świeżo z ust wydmuchany kłąb dymu, w spuszczonej ręce trzymał tlące się cygaro.

Był to Aleksander Stanisławowicz Kosickij, sekretarz biura.

— A?... — odezwał się głosem skrzypiącym, jak nienasmarowane osie.

— Mój panie Aleksandrze — przemówił żywo burmistrz — przejrzyj pan tam papiery Blacharzówny, muszą gdzieś leżeć u pana. Rozpiskę trzeba jej dać...

— W pobyt? A?.. — zaskrzypiał znów pan sekretarz.

— W pobyt, wielmożny panie — odpowiedziała Hanka, podchodząc, aby go pocałować w rękę. Ale pan sekretarz ręce schował za siebie Z wielkim bowiem taktem uważał on przyjmowanie takich hoł-

dów za mniej właściwe w obecności zwierchnika, który był "koleżskim sowietnikiem".

Sam przecież do biurka swego nie wracał, ale jak wypowiedział owo "a?...", tak stał z otwartymi usty i oczu nie zdejmował ze schylonej przed sobą dziewczyny. A ciekawa to była para oczu w tej bladej i jakby chorowicie obrzękłej twarzy pana sekretarza. Jakieś to zielonawe, to czerwone błyski zapalały się w nich i gasły; a on, jakby wiedząc o tym, a nie chcąc ludziom pokazać, nakrywał je ciężkimi, lekko zaognionymi powiekami, z pomiędzy rzęs tylko puszczając zmrużone spojrzenia. Postawszy tedy dłuższą chwilę, skinął głową na Hankę, aby szła za nim i cofnął się w sam środek tytoniowej chmury, która nad biurkiem jego w powietrzu wisiała.

Tu chwycił szybko jeden plik papierów, odrzucił go, chwycił drugi, potym trzeci, a podczas szukania właściwego foljału ręce mu drgały chwilami, jakby szarpane za ścięgna. Znalazł nareszcie czego szukał, oparł się ciężko o stół, jakby w chwilowej niemocy, zmrużył oczy i kilka razy odetchnął głęboko.

Hanka pilnie w twarz mu patrzała, chcąc z niej wyczytać, co czynić ma lub mówić.

Pan sekretarz przystąpił bardzo blisko do dziewczyny, mrużąc i rozszerzając naprzemian błyskotliwe oczy.

— Anna Blacharzówna?... A?...

— Tak, wielmożny panie — odpowiedziała Hanka.

— Ty w służbę myślisz?... A?...

— Bo ja wiem, wielmożny panie. Juści w służbę.

— Hi... hi... hi... — zaśmiał się zcicha pan sekretarz. — Kto ciebie w służbę weźmie? Kto do domu puści? Z czerwonym paszportem... A?...

Hanka schyliła głowę i milczała. Wielka chustka rzucała głębokie cienie na jej twarz śniadą. Oczy miała spuszczone. Źrenice pana sekretarza strzeliły czerwonym blaskiem.

— Oto, jaby wziął... jaby puścił... ja...

Spazm mu jakiś przeleciał po twarzy, zacisnął ręce, nie skończył. Hanka podniosła głowę i spojrzała na niego stroskanym, trochę tępym wzrokiem. Niedobrze pojmowała, czy się lituje nad nią, czy też naprawdę w służbę chce wziąć.

Pan sekretarz zachłysnął się, wykręcił nagle do stołu, siadł przy nim i przez chwilę pisał. Wyciągnął potym rękę.

— Ot tobie rozpiska! Tak ty możesz teraz w miasto, służby szukać. A melduj się, jak znajdziesz. A potym takoż się melduj. Do mnie się melduj, rozumiesz?... a?...

— Rozumiem, wielmożny panie — odpowiedziała dziewczyna.

— A żeby ty nigdzie nie próbowała uciekać. Tobie tylko tu w mieście być... A?...

— W mieście, wielmożny panie.

— Tak ty idź, a w trzy dni melduj się...

— Dobrze, wielmożny panie.

Schyliła mu się do kolan — odskoczył jak oparzony. Dziewczyna wyszła.

Była właśnie w połowie kancelarji, zmierzając z powrotem ku drzwiom, kiedy ją spostrzegł i zatrzymał pan burmistrz, oblegany tymczasem przez kłaniających się co chwila i dyskretnie uśmiechniętych Żydków, z pomiędzy których jeden wyłuszczał interes, a reszta cmokała rozkosznie ustami, jakby dla tym większego zalecenia go "wielmożnemu prezydentowi". Niewiadomo, czy pan burmistrz potrzebował w tej chwili dywersji dla własnych strategicznych planów, czy istotnie ta szczupła i śniada dziew-

czyna zwracała jego szczególną uwagę, dość, że spostrzegłszy ją, głos podniósł i zawołał:

— Ty... jak ci tam?... Zaczekajno jeszcze!

Zatrwożyła się i stanęła.

— Maczuski! — kończył pan burmistrz, ku drzwiom się zwracając.

Ale Maczuski od kilku już minut był w położeniu okropnym. Mrugał więc coraz szybciej swymi wyłupiastymi oczyma, piersią podawszy się naprzód, jakby w oczekiwaniu rozkazu. Od progu jednak nie odstępował, nie mógł odstąpić — i to stanowiło tragiczność chwili! Oto ten urwis Wicek, jego najmłodszy, aż tu za nim przyleciał i, wsunąwszy się przez drzwi uchylone, pociągnął go z tyłu za połę.

— Ojciec! Granula się ocieliła...

Maczuskiemu krew uderzyła do głowy.

— Poszedł! — syknął przez zęby i machnął pięścią w tył, ryzykując gdzie trafi, to trafi. Ale widać nie trafił nigdzie, bo znów tuż za sobą usłyszał:

— Ojciec... Ma byśka!

Maczuski posiniał z wściekłości, a wytrzeszczywszy jeszcze mocniej oczy i dalej wyciągnąwszy szyję, dla odwrócenia uwagi urzędu od rodzinnego dramatu, który się za jego plecami rozgrywał, kopnął wtył nogą, na wpośrodek Wicka miarkując. Ale noga uderzyła w próżnię. Myślał, że go krew zaleje.

— Ojciec — prawił dalej chłopak — matka powiada, co go będą chować.

— A bodajżeś zmarniał! — zaklął stłumionym szeptem, tkliwy rodzic Wicka i wyciągnął poza siebie kurczowo rozczapierzoną, jak jastrzębie szpony, prawicę, w celu pochwycenia czupryny Wickowej. Szczęśliwa jednak gwiazda małego hultaja ocaliła go i tym razem.

Chłopak był znowu tuż za nim.

— Je srokaty i żeby ojciec prędko szedł!

Tu Maczuski stracił resztę panowania nad sobą, a umocniwszy się na lewej nodze, wierzgnął z całej siły w tył prawą, w chwili właśnie, kiedy pan burmistrz zawezwał go przed siebie.

Nieszczęsny Wicek zanadto się widać podówczas zbliżył do ojcowskiej osoby, gdyż jednocześnie prawie z owym wezwaniem dało się słyszeć nieokreślone jakieś miauknięcie, potym uderzyło coś we drzwi jakby polanem, wreszcie dał się słyszeć szybki tupot bosych nóg poturbowanego posła, którego tym razem nie ochroniło żadne międzynarodowe prawo. Maczuski odetchnął głęboko, szurgnął parę razy butami, dla zatarcia ostatnich echowego tupotu i wystąpił przed zwierzchnika, siny jeszcze z uprzedniej alteracji, ale już "po szwam", w pełni swojej urzędowo-słupiastej powagi.

— Gdzież się Maczuski, u licha, kryje? Co tam za hałasy?... Dowołać się nikogo nie można!... — fuknął gromko pan burmistrz, nietyle przeciw staremu Maczuskiemu gniewny, ile dla okazania energji swej Żydkom, trzymającym go w pełnej słodkich pokus opresji.

— Żadnego porządku w służbie!

Tu głos mu zwolniał nieco.

— Pokazać tam dziewczynę Fedorence, żeby wiedział... Tu paszport dla niej... A ty się nie wałęsaj, tylko służby szukaj... — zwrócił się do Hanki.

Nie skończył jeszcze, kiedy w sieniach zrobił się nagły tumult, a przez szeroko otwarte drzwi wtoczyła się pani kasjerowa. Czerwona była bardzo i sapała silniej, niż zwykle.

— Dzień dobry prezydentowi!—zawołała krzykliwie od progu. — Prezydent wie, co się stało?

Pan burmistrz zerwał się ze swego fotelu, podstawił go pani kasjerowej i odkrzyknął nawzajem:

— Dzień dobry! dzień dobry! Jakże zdrowie pani dobrodziejki?

Ale dama nie była w usposobieniu, potrzebnym do wymiany towarzyskich grzeczności. Padła więc tylko na fotel, wołając:

— To prezydent nic nie wie?... Ta Kubisiakówna z Warszawy, ta pobytowa, co to była u mnie, wie prezydent, ta gruba, uciekła dziś w nocy. I to, powiadam prezydentowi, zabrała Filipci spódnicę z wszywkami, Józi pończochy w paski i dwa prześcieradła. No i rób co chcesz! Szukaj wiatru w polu!

Pan burmistrz klasnął w ręce

— Nie może być!

Dama się zaperzyła.

— Co to nie może być, kiedy jest! I żeby to jeszcze stare prześcieradło, ale nie, nowe, powiadam prezydentowi, od tuzina wzięte! A żeby ją!...

Pan burmistrz stał zafrasowany, drapiąc się w łysinę. Przez opuszczone jego wargi przesuwało się coś niezmiernie podobnego do "djabli nadali!" Żydki tymczasem zaszwargotały między sobą, a jeden z nich machnął ręką i roześmiał się zcicha.

Bystre oko pani kasjerowej giest ten dostrzegło.

— Cóż tam za chychy? — zapytała wyniośle. — Taka strata, to nie żadne chychy.

Zapłomieniła się na twarzy z oburzenia.

— A możeby pani dobrodziejka do mojej żony — pospieszył z interwencją pan burmistrz.

— A, dobrze, żeś mi prezydent przypomniał! — Właśnie to żona pańska namówiła mnie na tę złodziejkę. Co tam pani będzie uważała! mówi, pobytowa, nie pobytowa, każdej pilnować trzeba, mówi, a to się poniewiera, jak nikt w służbę nie weźmie... Ot i masz!

Odsapnęła kilka razy silnie.

Burmistrz stał przed nią, jak żak, mocno niekontent z siebie, że żonę tak nie w czas przypomniał.

Dama uderzyła ręką w boczną poręcz fotelu.

— A ja powiadam prezydentowi, że teraz w mieście nikt pobytowej do służby nie weźmie! Już się skończyło! Oho, prosto stąd idę na pocztę i do doktorów idę przestrzec, bo tam znów do prania te złodziejki biorą. Gotowa kradzież. I wszystkich przestrzegać będę. A i żona pańska niech się ma na ostrożności... Taka tania sługa, to jest droga sługa, bo sobie sama jak zechce, tak zapłaci...

— Zapewne, zapewne! — bąkał niewyraźnie pan burmistrz, coraz mocniej zażenowany.

— Więc jakże będzie z tą Kubisiakówną? — zapytała dama. — Bo już mniejsza o spódnicę i pończochy, ale przecież prześcieradeł od tuzina tracić nie mogę. Radź prezydent, co robić, mój prezydentuniu! Ja chętnie coś Fedorence od siebie dam, niech szuka, niech się dowiaduje...

— Ale owszem, owszem, pani dobrodziejko!

— I Staniewicz niech szuka...

— Będzie szukał. Wszyscy będą szukali! — mówił burmistrz, uszczęśliwiony, że dama już wstaje z fotelu. — To mój obowiąćek, pani dobrodziejko! — dodał, odprowadzając ją do drzwi.

— I żeby się wszędzie dowiadywali o te prześcieradła.

— Ale owszem! Natrualnie! Zapewniam panią dobrodziejkę...

— I żonę niech prezydent przestrzeże!

— Naturalnie! naturalnie!

Rozstali się w ukłonach.

Całej tej rozmowy słuchała Hanka z głuchym jakimś niepokojem. Jak stanęła, tak stała, spuściwszy głowę i patrząc w sęczek, który się ciemniej rysował na żółtej kancelaryjnej podłodze. Chwilami

zdawało jej się, że to ona ukradła spódnicę z wszywkami i pończochy w paski. Oczy jej wtedy zaczynały biegać jak jaskółki, obracając się to na mówiącą panią, to na drzwi, którymi wejść mogli Fedorenko i Staniewicz.

Jak wejdą — niechybnie ją złapią.

Po chwili wszakże wracała jej rozwaga. Ona przecież nie ukradła spódnicy, ani pończoch, ani dwuch nowych prześcieradeł od tuzina.

Nie! nie! Ona wie dobrze, że tego nie ukradła. Mogą Fedorenko i Staniewicz szukać koło niej wszędzie, jeśli chcą. Uspakajała się, oczy jej nieruchomiały i znów zatrzymywała je z jakąś głuchą troską na owym sęczku w podłodze. A sęczek zdawał się powiększać, poruszać i patrzył też na nią, jakby groźna, coraz ciemniejsza źrenica...

Jeszcze Blacharzówna ze schodków magistrackich nie zeszła, kiedy Wicek Maczuskiego, który tu znów z poselstwem jakimś z domu przyleciał i przezorniej tym razem w podwórku się zatrzymawszy, zobaczył, jak ''ojciec'' dziewczynę Fedorence zdaje, krzyknął z wielką fantazją:

— Warszawska złodziejka! Warszawska złodziejka! Widzita warszawską złodziejkę!...

Po Hance ognie przeszły. Najadła się ona coprawda wstydu niemało przez one lata więzienia. Ale tamto było w sądzie, w urzędzie, w czterech ścianach, nie zaś tak na ulicy... Myślała, że ją kto nożem przebódł!

Tymczasem do pomysłowego Wicka przyłączyło się dwuch, czy trzech przyjaciół z przeciwka, którzy nie mając jakoś na tę chwilę nic lepszego do roboty, zaczęli wyskakiwać po ulicy, wszeszcząc co gardła:

— Warszawka złodziejka! Warzawska złodziejka!

— Ciszej, trutnie! — huknął zrazu Maczuski, odwróciwszy głowę.

Ale wnet potym zagadał się z flegmatycznym Fedorenką, który każde słowo z małoruska, jak smołę, ciągnął, napół drogi do nosa trzymając szczyptę tabaki, którą go woźny częstował.

Hance zdawało się, że to już tak musi zostać nazawsze.

Zmrużyła oczy i podniosła ramiona, jakby się chroniąc przed uderzeniami obucha. Śniada jej twarz jeszcze śniadszą zdawała się w tej chwili.

Tymczasem uderzyło południe, a z pobliskiej szkółki wysypał się drobiazg gwarliwy. Wnet zmiarkowawszy, w czym rzecz, chłopaki przyłączyły się wrzaskliwie do zaimprowizowanego przez Wicka chóru; dziewczęta też zatrzymały się nad brzegiem trotuaru i otworzywszy usta, przypatrywały się Hance. Robiły nad nią uwagi, śmiały się i sztruchały chudymi łokciami, spychając na ulicę.

Wśród śmiechów tych i tego wrzasku stała Hanka, skulona pod swoją wielką chustką. Coś w niej cierpiało, kamieniało i chwilami zdawało się jej, że w ziemię wrasta. Chciała się poruszyć, ale jej nogi ciążyły, jak kłody. Nie mogła zresztą odejść, czekała na swój czerwony paszport, który Maczuski z Fedorenką komentowali, porównywując go z rozpiską pana sekretarza.

Złożył wreszcie strażnik ów paszport, oddał go dziewczynie i skinął na nią, że odejść już może. Jak była skulona, tak odwróciła się i poszła pierwszą spotkaną uliczką. Wrzask dzieci leciał jeszcze za nią czas jakiś, słabnął potym coraz, aż wreszcie rozpłynął się w cichym powietrzu. Ona jednak szła i szła, dopóki jej uliczka owa nie wyprowadziła na pole. Zadziwiła się wtedy i stanęła.

Gdzie idzie? Poco? Do kogo? — Nie wiedziała sama. Uszy miała pełne brzęku, głowę skołataną, ciężką.

Po chwili oprzytomniała jakoś.

W mieście jej trzeba zostać, do magistratu się meldować w trzy dni i potym służby szukać... Ścisnęła w ręku swój czerwony paszport. — Kto ją weźmie z takim paszportem? Kto ją do domu puści? Do prania jej też nie wezmą, boby mogła ukraść spódnicę z wszywkami i pończochy...

Tu myśli jej stanęły. Myślenie było dla niej wogóle pracą ciężką. Chwilę jeszcze majaczyły jej po głowie owe pończochy, potym przeciągnęła się pod swoją chustką i poczuła, że jest bardzo głodna.

Sięgnęła w zanadrze. Tam w starej chustczynie miała jeszcze kilka trojaków. W więzieniu nic prawie nie zarobiła, chorowała, nie miała zdrowia. Choroba zjadła wszystko — i to, co na "wydział" szło, i to, co do "książki" Cztery złote dał jej "wielmożny", kiedy ją puścili. Niech mu tam Bóg odpłaci.

Obejrzała się, nie było nikogo. Wyjęła parę miedziaków, zawiązała paszport i zwolna wróciła do miasta.

— Moja pani — odezwała się nieśmiało, zatrzymując się przy pierwszym straganie, na którym kupiła kilka bułek od tłutej przekupki — moja pani, czyby mi też pani nie doradziła jakiej służby?

— Czemu nie, moja panno! Służba się zawsze znajdzie. Co to, panna po chorobie, czy co? Nietutejsza może?

— Nietutejsza...

— A skądże panna?

— Ja... ja z Warszawy.

Straganiarka wychyliła głowę ze swej budki i baczniej na dziewczynę spojrzała.

— Coś strasznie kolo panny mizernie. A cóż panna potrafi?

— Ugotować potrafię, uprać...

— Co to tu panna "famielję" ma, czy co?

— Nie, nie mam nikogo...

Siwe oczy straganiarki podejrzliwie spojrzały na dziewczynę.

— A może... bo to niewiadomo, moja panno, a strzeżonego Pan Bóg strzeże... może panna "w pobyt"?

Hanka schyliła głowę.

— Ece, moja panno, kiedy tak, to poco ludziom głowę zawracać? Ja sama bym wzięła porządną dziewuchę i robota by się dla niej znalazła, bo to ziemi nie przekopie, a roboty nie przerobi, ale musiałabym źle w głowie mieć, żeby zaś brać pobytówkę... W imię Ojca i Syna! A toś się panna wybrała! Cóż to panna myśli, że u mnie w stancji cztery gołe kąty, czy co, żebym zaś złodzieja do domu puszczała? Moja panno, u mnie jest pościel na cztery łóżka, poduszki takie, żeto po trzy ruble jedna, u mnie są rondle, u mnie jest wszelaki porządek, wszelaka domowizna. To ja, moja panno, lada obieżyświata nie mogę do domu puszczać, ja muszę mieć dziewczynę, co się nazywa, akuratną, znającą między ludźmi. Tak, moja panno. Kiepskoś się panna wybrała. Tu pobytówek, jak tych psów, się kręci, a kto ich weźmie do służby? Żyd nawet nie weźmie, choćby za półdarmo. Każdy się, moja panno, strzeże, jak może, bo domowego złodzieja nikt nie upilnuje...

Hanka zwróciła się w milczeniu. Jakoś ją nagle ochota do jadła odeszła. Tymczasem straganiarce nowa myśl błysnęła w głowie. Kolasińska, rzeźniczka, szuka dziewuchy... Niechby wzięła złodzieja, głupia baba! Dmie się to, niewiadomo czego... Te-

raz znów sługą chce wszystkich zakasować... Otby dla niej sługa...

— Panno! panno! — zawołała. — Niechno panna czeka!

Hanka obejrzała się i stanęła.

— Niech ino tu panna bliżej podejdzie!

Dziewczyna podeszła.

— Tu w drugiej kamienicy — mówiła zcicha straganiarka — mieszka rajfurka Janowa. Już się tam panna dopyta. Wiem, że ona do rzeźniczki z przeciwka sługi szuka. Niech panna idzie, może się uda.

Hanka pocałowała babę w rękę.

— Dziękuję, moja pani...

— Co tam dziękuję! Niema za co dziękować. Idź panna z Bogiem.

Zajęta zmywaniem statków Janowa przyjęła Hankę w sposób, budzący najlepsze nadzieje. Wczoraj właśnie mówiła jej pani aptekarzowa, że wzięłaby i pobytową nawet, byle cichą i pracowitą dziewuchę, bo już z tymi "lafiryndami" rady sobie dać nie może. Co która pobędzie tydzień, dwa, oho! już po służbie. Nienastarczone rzeczy. Z uczniami by tylko, albo i z prowizorem po kątach każda wyszczerzała zęby, a roboty się boi, jak ognia... Wprawdzie to i rzeźniczka szuka, ale również co pani, to pani. Zawszeć to inna rzecz u profesjanta służyć, a u państwa...

W Hankę wstąpiła otucha.

— Moja pani Janowa, moja święta! To kiedyby my poszli?

— A cóż! Odkładać niema co! Niech ino panna mój fartuch zapasze i tę chustkę z głowy zdejmie, żeby to jakoś koło panny było porządniej trochę. Ja ino poszoruję statki, to zaraz pójdziemy.

W pół godziny potym były już w aptece.

— Proszę wielmożnej pani — rzekła Janowa, krygując się i całując rękę pani aptekarzowej, bardzo wysokiej, bardzo żółtej i bardzo chudej osoby — ''rekomanduję'' pani nową kuchareczkę...

Pani aptekarzowa miała wzrok krótki, przymrużyła więc oczy i wyciągnęła cienką swą szyję. Rozpoczęła się indagacja.

— Skądże to?... U kogo służyła?...

Janowa się zbliżyła, wspięła do ucha pani, i z poufałością, cechującą stosunki małomiasteczkowe, zaczęła szeptać.

Ale w tejże chwili pani aptekarzowa odskoczyła, rozstawiwszy przed sobą chude swoje ręce.

— Nie chcę! Nie chcę! Nie chcę!... — mówiła prędko, trzęsąc nimi i cofając się ku drzwiom pokoju.

Janowa wszakże nie ustępowała z placu.

— A wielmożna pani wczoraj mówiła...

— Mówiłam! prawda, że mówiłam! Ale jeszcze nie wiedziałam o niczym. A tu się piękna historja u państwa kasjerów dzisiejszej nocy stała... Cóż to, Janowa nie wie, że ta Kubisiakówna Walerka okradła ze wszystkiej bielizny i uciekła?... To Janowa nie słyszała o tym? A przecie się całe miasto trzęsie!

Kobiecina klasnęła w ręce i zaczęła głową kiwać w wielkim zdumieniu.

— Przypatrzcie się, moi ludzie, co to za złodziejka!

Usłyszawszy ten wyraz, Hanka mimowolnym ruchem sięgnęła ku chustce, której wszakże nie miała na głowie. Znowu jej zaczynało się majaczyć, że to ona okradła kasjerów, że się to wszystko zaraz wyda i że ją znów do więzienia wezmą. W pomieszaniu swoim pociągnęła Janową za fartuch, chciała odejść

Janowa wszakże postanowiła raz jeszcze próbować szczęścia.

— Co tam, proszę wielmożnej — rzekła z rezygnacją. — Co się stało to się nie odstanie. Niby to i tutejsze nie kradną! A toby wielmożna pani miała dziewuchę pomyślenie... Jedna drugiej nie wyrówna, choć i na ten przykład, Kubisiakówna zawsze była gałgan dziewczysko, a ta i ugotuje i upierze, latać nigdzie nie będzie, bo to znajomości nijakich nie ma...

— A niech ją tam licho, moja Janowa! Żeby mi tu ona miód robiła, to już ja jej nie chcę. Niech się tam nią kto inny dorabia, byle nie ja.

— No! Cóż robić, kiedy wielmożna pani nie chce...

— Ale nie, nie, moja Janowo! I wam radzę, nie prowadzajcie jej nigdzie, bo się możecie w jaką biedę wkopać.

— Ha, jak tak, to padam do nóżek wielmożnej pani.

— Bądźcie zdrowi.

Wyszły.

— No, moja panno — rzekła Janowa do zstępującej w milczeniu ze schodów dziewczyny — widziała panna, że się człowiek starał, jak mógł, i wszystko na nic. A ja pannie powiem, że jak panny w aptece nie wzięli, to panny nigdzie nie wezmą, bo to jest służba osławiona między wszystkimi i żadna się tam porządna sługa nie posięgnie, tylko same szurgoty. A kiedy już ta sucha Jewka panny nie chciała, to źle! To już ja się nie podejmuję panny prowadzać. No, no! aż mi dziwno... A wiem, że sługi nie mają...

Kiwała głową w krochmalnym czepcu i kołysała się na szerokich biodrach w wielkim zadziwieniu. Po chwili zatrzymała Hankę.

— Tak dawaj panna mój fartuch, a po chustkę sobie panna przyjdź. Tyle tylko, że się człowiek po próżnicy językiem naobracał. Aż mi w gardle zaschło. Żeby tak z kim politycznym, toby się i napić warto z naparsztyczek!

Hanka zrozumiała przymówkę i sięgnęła po swoje trojaki.

— A toć jabym rada... — Miała nadzieję, że ją jeszcze Janowa do rzeźniczki doprowadzi.

— A no, to dalej go!... do Szapsiowej...

— Tyko, że jabym chciała pierwej chustkę... Jakoś tak niełdnie między ludzi...

Nie mogła wymówić, że jej wstyd było z odkrytym czołem między ludzi iść, ale w istocie wyobrażała sobie, że kto na nią spojrzy, to zaraz pomyśli: złodziejka. Wstąpiły tedy po chustkę.

U Szapsiowej było gwarno. Hanka zawahała się na progu, ale ją pociągnęła Janowa. Pierwsza izba pełna była pijących. Jedni siedzieli przy żółtym, bejcowanym stole, to popodpierani oburącz, chmurni, milczący, kurząc szwicent i plując na strony, to rzucający się sobie w objęcia i płaczący rzewnie. Drudzy, porozwalani na ławach, śmieli się, dowcipkowali, śpiewali i chociaż sami napół pijani, krotochwile sobie z innych czynili; kilku stało wpośrodku izby — to krzepko, to już się chwiejąc na nogach i rozlewając wódkę, a od czasu do czasu uderzali pięściami w stół i klęli donośnie.

Brudna usługująca dziewczyna kręciła się, jak mucha w ukropie, odwoływana i popychana na wszystkie strony, sama zaś Szapsiowa, robiąc pończochę na wysokim stołku za szynkwasem, patrzyła na gości swoich tym leniwym, zmrużonym nieco spojrzeniem, które tak często widzieć można u starych tłustych, niegdyś pięknych Żydówek małomiasteczkowych.

Janowa przepchnęła się do samej szynkarki i, zażądawszy anyżówki, przepiła półkwaterkiem do Hanki.

— Daj Boże zdrowie!

— Daj Panie Boże!

Dziewczyna odebrała kieliszek i wypiła także. Wtedy Janowa zaczęła przegryzać ser z kminkiem i słony obwarzanek żydowski, po którym okazała się potrzeba przepłukania gardła piwem.

W czasie tego poczęstunku ten i ów podchodził i zaglądał pod chustkę uparcie zasłaniającej się dziewczynie. Kilku nawet szturchnęło ją w bok, niechcący niby, że to tłok był w szynku. Jeden zwłaszcza, chłop młody i rosły, obchodził ją to z lewej, to z prawej strony, jakby szukając zaczepki. Płaciła właśnie za traktament Hanka, kiedy stanął wprost przed nią i, zajrzawszy jej w oczy, zawołał:

— A, jak Boga kocham!... Tośmy się zeszli!

Hanka spojrzała i poznała go także. Był to Józek Calik, co z nią przeszłego roku razem w więzieniu siedział.

Zapaliła się na twarzy i pociągnęła za fartuch Janowę. Chciała wyjść stąd coprędzej.

Ale babie po onym piwie z anyżówką na gadanie się zebrało, więc się łokciem na szynkwasie wsparła, na ręce brodę położyła i opowiadała Szapsiowej, jak to przeszłego roku chłopaka jej do wojska brali. Calik też ode drzwi zastępował i wsparłszy się pod boki, śmiał się i głową kręcił.

— No, no! kiedy my się też tak tutaj zeszli! No, no! I dawno tu Hanusia?

Dziewczyna ścisnęła zęby i milczała.

— A cóż to, Hanusia zaniemówiła, czy co? Zawsze taka harda?

Zbliżył się do dziewczyny, która znów pociągnę-

ła Janową. Baba odwróciła głowę, a biorąc zaczepkę Calika za zwykłą galanterję, rzekła:

— Daj sobie pan spokój! Bo ta panna nie tutejsza i z tutejszymy kawaliramy nieznająca...

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Calik hucznie. — Moja pani! Wiem ja lepiej, niż pani, z czym ta panna znająca, albo nie znająca.

— A ja panu powiadam, co sobie pan daj spokój, bo ja tę pannę do służby prowadzę.

— Co Hanusia, zgłupiała? Do służby Hanusia idzie?

Calik obrócił się do dziewczyny.

— Gdzież pójdę? — przemówiła Hanka z jakąś niecierpliwą żałością w głosie.

Calik pociągnął ją na stronę.

— Hanusia lepiej z nami trzymaj — przemówił zcicha. — Kupa nas tu jest, ze strażnikiem się znamy i co nam kto zrobi? Zawierska tu jest, i Walera jest, i Korbielakowa... Człowiek sobie czasowy, nad karkiem mu nikt nie stoi, we świat też czasem wyjrzy, to na folwark gdzie, to na jarmarczynę jaką. Ze Żydkami wszystko można, powiadam Hanusi. Ja już tu trzy kwartały siedzę i jakoś się żyje. Insze tam pouciekały do Warszawy. Warszawa im pachnie. A niech im tam pachnie! A ja Hanusi powiadam, że i tu nie najgorzej...

— Muszę już iść — rzekła.

— A gdzie Hanusia siedzi? u tej baby?

— Nie mam jeszcze nijakiego posiedzenia...

— No, to Hanusia naprózno służby nie szukaj, bo dziś o Walerze obębnili na rynku, to się każdy będzie wagował wziąć, a o mnie się Hanuia na Utratę pytaj, to się możemy zejść... No, jakże?

— Muszę już iść — powtórzyła dziewczyna jakby odurzona.

Calik puścił jej rękę i pokiwał głową.

— Już ja widzę, że się Hanusia zmarnuje bez tę swoją hardość...

Nie odpowiedziała, ale szarpnąwszy zagadaną babę za rękaw, rzekła:

— Albo idźcie, albo nie idźcie, bo ja idę.

Janowa spojrzała na nią zamglonymi oczyma.

— Gdzie panna idzie?

— Do rzeźniczki idę...

— No, to niech panna idzie, bo ja tam nie pójdę.

Odwróciła się do szynkwasu.

— Jak go, powiadam pani Szapsiowej, ostrzygli, jak ja go zobaczę, jak mnie żałość nie zeprze, jak nie ryknę...

Dziewczyna wyszła. W głowie jej się kręciło, niewiadomo z czego. Z kieliszka anyżówki może, z gorąca, z Calikowego gadania... Wyszedłszy spostrzegła, że się już dobrze zmierzchło i że na bladej wieczorowej zorzy cztery latarnie w rynku świecą, żółte i dymiące jakby... Ano, niema już co i myśleć o chodzeniu do rzeźniczki po nocy. Jutro pójdzie.

Przeszła ulicę w poprzek i stanęła. Jutro... A gdzie teraz pójdzie? A gdzie zanocuje? Wtym drzwi szynkowni brzękły i wyszedł Calik, rozglądając się wzdłuż ulicy na prawo i na lewo. Dziewczyna cofnęła się w bramę i czekała, aż przejdzie. Dopiero kiedy się chłopak znacznie oddalił, wyszła i powlokła się w przeciwną stronę. Szła, gdzie oczy poniosą.

Wieczór był cichy, ciepły, wilgotna mgła perłowa wisiała nisko nad ziemią, tu i ówdzie słychać było skrzypienie studni i śmiechy biorących wodę. Z godzinę szła, wracała się, stawała, właśnie jak ta owca błędna, co cię od gromady odbije. Przez niskie okna drewnianych domków widać było ludzi, krzątających się w oświetlonych izbach. Gdzieniegdzie

zabierano się wieczerzać, a zapach świeżych kartofli i skwarek rozchodził się szeroko.

Jak we dnie od ludzi, tak teraz od tych drzwi i okien odwracała Hanka głowę, zwieszoną pod ciężarem wielkiej swojej chustki; wiedziała ona, że żadne z tych okien nie otworzy się dla niej, że żadne z tych drzwi nie wpuszczą jej do wnętrza... Kilka suchych bułek niewiele ją posiliło, noga też zaczynała dojmować coraz bardziej. Szła jednak, bo nie miała się gdzie zatrzymać, aż poczuła w powietrzu woń skoszonej trawy i wyszła na łączkę podmiejską, pomiędzy kupki przeschniętego potrawu. Pod jedną z kupek takich usiadła i oparła głowę.

...Niech jeno ranek, zaraz pójdzie do rzeźniczki, sama pójdzie, prosić będzie, a musi służbę znaleźć. Już jej nikt nie namówi na takie życie... Ręce sobie do łokci pourabia, a na złe się nie puści... Niech Calik co chce gada, albo i inni, nie puści się i nie puści... Takie ma postanowienie w sobie. Pana Jezusa oto na pomoc wezwie i świętego Antoniego... Ach, Panie Jezu Chryste i święty Antoni... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego... Ojcze nasz, któryś jest w niebie... Zasunęła się głębiej w siano, opuściła głowę, usnęła.

Sen miała ciężki, męczący.

Śniło jej się, że ojciec jej, stary Kacper Blacharz, szewc z Pabjanic, trzewiczki jej szyje...takie maluśkie trzewiczki. Szyje, szyje, młotkiem podeszwy klepie, dratwy dociąga na krzyż, szpilki struże, a to wszystko na drogę dla niej, bo ona w pobyt idzie. A taka z niej mała dzieweczka, taka mała, że ledwo z dziesięć latek... Matka ją w czystą koszulę obłóczy, warkoczyki jej plecie, starsza siostra fartuszek pierze, starszy brat wozem zajeżdża, a to wszystko dla niej w pobyt... Przyszedł ksiądz proboszcz, pieśni z organistą śpiewa, święconą wodą

wóz kropi, a tu jak niehukną dzwony... Wstrząsnęła się i otwarła oczy.

Wiatr nocny mgły gdzieś na strony rozegnał, nad nią wisi szafir ciemny i głęboki, a wielka, jasna gwiazdka, jak złoty jaskier, na środku się pali. Księżyc się już ku zachodowi obrócił, a łąka, jak okiem zajrzeć, pod tumanem srebrnym, jakby pod jeziorem, stoi. Derkacz odzywa się to bliżej, to dalej, wilgotny chłód po kościach chodzi...

Skuliła się, głowę przechyliła na drugie ramię, zasnęła.

Śni się jej, że dokoła niej wielka woda huczy i coraz wyżej, wyżej się podnosi, a ona w pośrodku stoi, głowę pod wodą trzyma i już, już ma się zalać. A co się wychyli, co głowę podniesie nad wodę, to kamień z góry spada i w głowę ją trafia. A ona krwią się oblewa i znów na głębię idzie.

Woda huczy a huczy, zimno przenika jej ciało... Już, już dochodzi do brzegu, już trzcinę chwyta, już głowę wystawia, oddycha, aż tu patrzy — na brzegu ludzi tłum, a każdy ma wielki kamień w ręku i czeka tylko, żeby w nią uderzyć... Składa ręce, prosi... Dobrzy ludzie, dobrzy, wielmożni panowie! Nie rzucajcie jeszcze kamieni... Niech się aby na brzeg dostanę, niech z onej wody, z onej głębiny na powietrze wyjdę... Trzcina piszczy u brzegu, woda huczy za nią, ona się kępek chwyta, wodę rozgarnia, do brzegu dochodzi... Aż tu buch! Zakotłowało się wszystko, kamień największy w głowę ją trafił, padła w tył, głębina ją porwała... A ludzie śmieją się i klaszczą, a woda huczy nad nią, a trzcina piszczy u brzegu...

Zbudziła się. Serce jej biło mocno, w gardle zaschło, jakby od wewnętrznego krzyku. Przetarła oczy i siadła.

Był ranek. Niebo zachodziło różaną zorzą od

wschodu. Gęsi dzikie, które przed odlotem zerowały na pobliskim ścierniu, podniosły się teraz z głośnym gęganiem i, wyciągnąwszy się długim, długim sznurem, chwiały się w powietrzu cichym, jak szarfa pozłocona z jednej strony wschodzącym słońcem, a z drugiej sina od sinych tumanów łężnych.

Zerwała się dziewczyna i patrzyła na nie.

Szarfa niosła się coraz dalej, coraz wyżej, a ku ziemi szedł od niej głos, jakby brzęk gędźby dalekiej. Czasem tylko ostrzejszy krzyk gąsiora przecinał ten brzęk nagle i rozbrzmiewał szeroko w porannej ciszy.

Źrenice Hanki rozszerzyły się, otwarła usta, głębokie odetchnienia podniosły jej pierś szczupłą, drobną, włosy nocną rosą zwilżone opadły jej na twarz i szyję, a z gardła wyszedł dźwięk krótki, urwany, jakby mimowolny okrzyk niepowstrzymanego instynktu wolności, swobody...

Ale to była jedna tylko chwila.

Z ostatnim brzękiem ginącej w dali gędźby lecącego ptactwa dziewczyna spojrzała po sobie, po stronach i zawstydziła się czegoś. Głowa jej zwisła, ręce zasunęła głęboko w rękawy grubego kaftana, skurczyła ramiona, zacisnęła usta i wolnym krokiem wróciła do kupki potrawu, pod którą chustka jej leżała. Musi iść, musi się spieszyć, do rzeźniczki musi iść, służby musi szukać...

Wyszła na drogę do miasta. Ruch się już po domostwach budził, w podwórkach kozy beczały, gdzieniegdzie wznosiły się z kominów cienkie pasma dymu. Szła, nie podnosząc oczu od ziemi, a w myśli jej majaczyły sny nocne i gęsi lecące, a tak jej coś w głowie huczało, jakby wielka, wielka woda...

. . . .

Nie wiem, jak tam sobie radzą wogóle babskie języki, kiedy je sekret jaki przypiecze, ale to wiem,

że język owej straganiarki, co to pierwsza raiła Hance służbę u rzeźniczki, należał do takich języków, na które zgoła żadnej rady niema. Kwadrans jeszcze nie minął po rozstaniu z Hanką, kiedy owa właścicielka pościeli na cztery łóżka i wszelkiego porządku zwierzyła się kumie Mateuszowej, jako Kolasińską "objedzie" i "pobytówkę" jej do domu wkręci.

Mateuszowa słuchała zadumana. Zdarzyło się bowiem, że jak raz potrzebowała wziąć tego dnia trzy nogi wołowe na kredyt i miarkowała sobie, że za taką nowinę łatwiej je dostanie. Niewiele tedy myśląc, chwyciła chustkę, koszyk i wprost do rzeźniczki poszła.

Konfidencja zacnych niewiast podwójny miała skutek. Pierwszy był ten, że Mateuszowa wróciła do domu, niosąc w koszyku trzy bure, kosmate nogi wołowe, na kredyt wzięte, czerwona od gadania i kieliszka pomarańczowej, którym ją za życzliwą przestrogę poczęstowano; drugi zaś ten, że imci pani Kolasińska całą noc parskała i fukała, zatykając się niemal z hamowanej pasji i nie mogąc doczekać ranka. Sama ze siebie możeby i wzięła "pobytówkę" na służbę, ale żeby zaś kto na urągowisko, z umysłu taką stręczyć jej miał!... Niedoczekanie czyje!...

Zaledwie tedy Hanka weszła i usta otwarła, kiedy rzeźniczka zerwała się ze stołka, na którym siedząc piła kawę z kwartowego garnka, a przyskoczywszy z pięścią do dziewczyny:

— A ty złodziejko! — wrzasnęła. — A ty wywłoko! A do straganu ruszaj! Do dobrodziejki swojej, nie do mnie!... A ty...

Nie podejmuję się tu powtarzać całego repertuaru zacnej pani Kolasińskiej; zaręczyć wszakże mogę, że był on bardzo obfity i urozmaicony, tak w oryginalnej swojej części, jakoteż i w przyswojonej z innych, pięknie w tym względzie uposażonych ję-

zyków. Na uwagę zasługuje także nadzwyczajna szybkość tak dykcji, jak i samej akcji w tej sprawie, a to tak dalece, że nie minęły jeszcze trzy zdrowaśki, kiedy już Hanka została nietylko zwymyślana kategorycznie, ale poturbowana i wypchnięta za drzwi, sama zaś pani Kolasińska, wróciwszy do swojej kawy, bełkotała resztę klątw zapchanymi bułką ustami, sapiąc silnie i wygrażając od czasu do czasu pięścią w stronę ulicy.

Tak oddalająca się burza ciska za sobą ostatnie błyskawice, warcząc z chmur poszarpanych — niewyraźnym grzmotem.

Wypchnięta za drzwi dziewczyna chwilę stała na ulicy ogłuszona, przelękła, machinalnym ruchem poprawiając na sobie potarmoszoną odzież; kolana pod nią dygotały, świst i szum napełniał jej uszy. Ludzie przechodzili i potrącali ją; nie czuła prawie tego, patrząc przed siebie osłupiałym wzrokiem. Zaczynała pojmować, że służby w miasteczku nie znajdzie. I zdawało jej się, że w świście tym którego miała pełne uszy, słyszy wyraźnie głos Bamblowej, a potym głos Józka, a potym sto innych głosów, które jej jak wiatr hueczały w głowie. Jakiś ruch instynktowny pchnął ją wreszcie z miejsca, na którym stała. I znowu szła, nie wiedząc gdzie i poco, a czując tylko, jak ją ciężka, twarda jakaś ręka pcha dalej a dalej, przygniatając coraz głębiej ku ziemi. Pod uczuciem tego nacisku zanurzyła głowę w ramiona, wlokąc za sobą nogi coraz wolniej, aż opadłszy z sił zupełnie, osunęła się pod płotem, grodzącym jakiś szmat półka zasadzonego kartoflami. Tu na górce wiatrak klekotał jednostajnie, a poruszający się na żółtym piasku cień jego szmig, podnoszących się i opadających kolejno, skracał się już ku południowi, które przychodziło znojne, gorące. Dziewczyna nie poruszała się z miejsca, ale objąwszy rękoma po nie-

sione kolana, siedziała skurczona, zmrużywszy zmęczone oczy. Wkrótce wszakże, pod działaniem promieni słonecznych i klekotu wiatraka, ręce jej się rozplotły i opadły wzdłuż ciała, nogi wyprostowały, osuwając się po ziemi, a głowa ku piersiom zwisła.

Nie spała wszakże Hanka i pacierza, kiedy ją zbudził głos ujadającego psiaka, za którym postępował młynarz Fabich, w rozpiętej kamizelce nankinowej i z krótką fajeczką w zębach. Już z ganku wiatrakowego widział on, że mu się ktoś po polu włóczy i już stamtąd posłał kilka energicznych "donnerwetterów" siedzącej pod płotem postaci. Skorzystał też z południowego spoczynku, ażeby zobaczyć, kto to tam taki, a ujrzawszy dziewczynę, zdaleka już trząsł wyciągniętą fajką i krzyczał:

— Was Teufel tam dziewucha na mój grunt lazi?... Nie wiedziala, że to moje pole?... He?...

Hanka powstała spiesznie.

— Już idę... nie wiedziałam... Niech się pan nie gniewa.

— Nech sze pan ne knifa! Nech sze pan ne knifa! U nich wszystko: nech sze pan ne knifa! Aber ja sze chce knifać, donnerwetter! Ja mam prawo sze knifać na swój grunt, na swoje pole!... Do roboty to ich niema, aber lazić w szkodę, to mają czas. Żeby dziewucha co porządna i mądra byla, toby sze ne leciala cyganić po polu, tylko do pielenia by szla, do kopania... Ja ludzi do kopania szukam, ja dobrze placi i znaleźć nie mogę, a ona pod plot drzyma...

Oczy Hanki błysnęły nadzieją.

— Ja też roboty szukam...

— So! Das ist was anders! Teraz taki czas, że każdy roboty szuka. Was Teufel komu po tych wszystkich robotnikach? Teraz pieniądz droga, aber robotnik tania. Cóżby dziewucha chciala od kopanie?

— Jak tam pan innym płaci, tak i ja wezmę.

Niemiec się nadął.

— Ja placi... — Tu chciał powiedzieć zwykłą cenę, ale spojrzawszy na nędzną odzież dziewczyny, wczas się powstrzymał i rzekł: — Ja placi dwadzieścia cztery grosza i kartofli co zje.

— Dobrze, będę kopała — rzekła Hanka skwapliwie.

— A motyka i płachta jest?

— Nie... motyki nie mam... ani płachty...

— Das ist was anders! Jak bez motyki i bez płachta, to ja placi bischen weniger... ja dać 20 groszy i kartofel na południe.

Hanka była zrezygnowana.

— Niech i tak będzie — rzekła będę kopała.

Młynarz wypuścił fajkę z zębów. Powolność dziewczyny zastanowiła go.

— Dziewucha aber może chora Może nie poradzi kopania?...

Hanka się przelękła. Ciemne rumieńce zaogniły jej twarz wychudłą, roześmiała się suchym, przymuszonym śmiechem.

— Cobym zaś nie miała poradzić! Zdrowa jestem, mocna jestem! — rzekła, prostując szczupłe ramiona i wyciągając przed siebie z dziwną jakąś energją swoje chude ręce. — Jak będzie trzeba, to i kamienia ugryzę, wiatrak przeskoczę...

— Ne! ne! ne!... — wołał Fabich trzęsąc głową i ręką. — Gott bewahre! Naco wiatrak!... Nie trzeba wiatrak!... I kamieni nie trzeba. Aber, jak ja motyk dam swoje i płachta swoje, to ja muszę swego pewny być i ja muszę wiedzieć, gdzie robotnik ma swój dom.

W Hance serce zamarło.

— Ja tam nie mam nijakiego domu — odrzekła.

Spuściła chmurne oczy i milczała przez chwilę. Nagle jej się łzy po twarzy puściły, przypadła do kolań młynarza.

— Mój panie! mój złoty, mój miłosierny panie! Weźcie mnie do kopania! Mój panie! Będę wam jak pies do późnej nocy harowała, jednej peruszki w ziemi nie ostawię, za dwoje robić będę, jeno mnie poratujcie, jeno mnie weźcie! Mój złoty panie!

Młynarz cofnął się zdumiony. Dziewczyna wybuchnęła płaczem.

— Ani ja roboty, ani ja zarobku ani nijakiego opatrzenia, ani przyjacielstwa nie mam!... Niech tam, niech co chce będzie! Wszystko lepiej odrazu powiem, niech się co chce stanie! Mnie tu w pobyt kazali...

— W pobyt? — zawołał, zatrzymując się młynarz. — Ach, so! Das ist was anders! Ach, so!...

Zacmokał grubymi ustami i kiwał głową. Po chwili odsapnął, pociągnął parę razy z przygasłej fajeczki, wypuścił cienkie pasemko dymu, pod nos wysunąwszy wargi i rzekł:

— Na, na!... Das ist was anders! To jest głupie sprawa z ten pobyt... To jest bardzo głupie sprawa... Aber jak tak, to ja nie mogę dać tyle. Jak tak, to ja dam dziesięć groszy na każdy dzień i kartofli na obiad. So! so! I żeby sobie nocleg sama szukała, a płachta i motyk mnie na każdy wieczór oddawać do ręki.

Hanka otarła oczy.

— Niechże będzie dziesięć. Bóg wam zapłać i za to. Każcie ino dać motykę.

— Aber naco zara motykę? Das waere ja keine Rechnung. Do wieczora redlinę przekopie, a musiałby kartofle dać...

Hanka machnęła rezolutnie ręką.

— A niech je ta i kartofle! Będę kopała i tak, bez obiadu.

— Das ist was anders! Das ist richtig! — Kiwnął głową Niemiec i kazał iść za sobą dziewczynie.

III.

Zaczęły się tedy dla Hanki dnie nowego życia. Zrazu pracowała gorączkowo, świtem na redlinie stając, nocą z pola schodząc, palcami ziemię przesiewając niemal. W południe piekła garść kartofli, do których kupowała sobie trochę soli, reszta zarobku szła na chleb, który dziewczyna dzieliła na dwie części, na ranny i wieczorny posiłek. Po tygodniu wszakże takiej pracy znacznie osłabła: i chociaż z równą gorliwością kopać usiłowała, często przecież w oczach jej ciemniało nagle, a trzęsące się ręce nie mogły już z takim, jak wpierw natężeniem uderzać motyką w korzenistą ziemię. Zdarzało się też, że młynarz, który od czasu do czasu kopania doglądać przychodził, znajdował za dziewczyną jeden i drugi kartofel w redlinie, krzyczał wtedy, czapkę o ziemię ciskał, nogami tupał, za głowę się darł i po groszu, po dwa z mizernej zapłaty wytrącał. Hanka przecież znosiła to wszystko. Owszem, czuła się niemal szczęśliwą. We dnie miała robotę, jak i inni ludzie, nocą tuliła się gdzie w bruździe i nakrywała płachtą, na pewność której Fabich wziął do siebie jej czerwony paszport! Mogła wyżyć. Noce wprawdzie coraz były chłodniejsze, a dziewczynę nieraz zimno od rana wytrzęsło, że to i rozgrzać się nie było czego. Przewidywać się nawet dawał czas, w którym zgoła w polu nocować nie będzie można. Hanka usiłowała nie myśleć o tym, a ile razy Fabich nadchodził, machała motyką tak, że aż grudki

wilgotnej ziemi rozpryskiwały się na wszystkie strony. Skończyło się nareszcie kopanie Fabichowych kartofli, ale dobra jakaś gwiazda i dalej przyświecała dziewczynie, sam Fabich bowiem nastręczył ją Gawrońskiemu, szynkarzowi, który tuż za wiatrakami pólko swoje miał i kopaczy szukał. Nie widział wszakże zacny młynarz żadnego powodu, aby Gawrońskiemu życzyć tak taniej robotnicy, jaką sam znalazł; powiedział tedy szynkarzowi, że płacił Hance 20 groszy dziennie. Szynkarz na tę cenę przystał chętnie, ale się Hanka teraz uparła, że mniej nie weźmie, jak 29. Trzewiki z nóg jej spadały, odzienie zgniło prawie od ciągłej wilgoci ziemnej, musiała więc coś zebrać, oszczędzić i oporządzić się trochę. Gawroński się targował, ale zważywszy, że naokoło płacono kopaczom po 40 groszy, zgodził się na wymaganie dziewczyny i na zgodę przepił anyżówką do Fabicha. Potym czerwony paszport Hanki przeszedł w ręce szynkarza, a dziewczyna, pełna otuchy, dostała zamiast płachty — worek.

Stawała znów tedy w pólku za wiatrakami coraz to mglistszym rankiem, schodziła coraz to ciemniejszym wieczorem, bo dnie skróciły się znacznie. Jesień zapowiadała się wczesna, słotna; stada wron i kawek ciągnęły od pobliskiego boru, deszcze przechodziły drobne, zimne, uprzykrzone... Owo "zimno", o którym mawiała Hanka, że ją "ograża", zmieniło się teraz w stale wracającą co czwarty dzień febrę, z którą wszakże dziewczyna kryła się przed ludźmi, żeby jej roboty nie odjęto Głowa jej wtedy ciężyła jak kamień, w kościach łamało jak kołem a takie miała pragnienie, że nieraz się nad rowem położywszy, piła a piła, aż ją odęło całą.

Ponieważ Gawroński pozwolił jej piec dwa razy na dzień kartofle, przestała chleb kupować, a nawet nie kupowała i soli, której dzieciaki z szynku czasem

przyniosły. Składała zato grosz do grosza, dziesiątkę do dziesiątki, a kiedy po dwuch tygodniach pracy złożyła dziesięć złotych, poczerwieniała z radości i zawiodła piosnkę, przypomnianą z dawnych, dawnych lat. Dzień to był wyjątkowo ciepły, chociaż mglisty; przydrożne topole stały bez ruchu, cienkie niteczki babiego lata srebrzyły się nad ziemią, unoszone jakimś niewidzialnym, leciuchnym podmuchem, a słońce zachodziło blado-złote, bezpromienne, wsiąkając zwolna w liljowy tuman ponad lasem.

Od miasta szło towarzystwo, damy i panowie, a idąc, rozmawiali wesoło. W małych miasteczkach często się zdarzają takie przechadzki: to na szosę, to do jakiegoś uprzywilejowanego punktu, to między pola podmiejskie. Hanka śpiewała. Zdawało się, że uciśniona, zagłuchła jej dusza dostała nagle i skrzydeł i głosu. Jakaś zorza wyszła z pod serca dziewczyny na jej twarz wychudłą, w zapadłych oczach paliła się reszta gorączki po wczorajszej febrze, usta jej drżały. Głos zrazu rwał się i łamał, potym się zwolna rozciągnął do jakiejś dziwnej skali, aż rozbrzmiał na całe pole, pod las poleciał, na łąki, pełny, dzwoniący, wilgotny, jakby nabrany rosą. Rzecz dziwna. O trzewikach tylko myślała dziewczyna, a w śpiewie jej brzmiała cała bezwiedna poezja, do jakiej serce ludu jest zdolne. Była szczęśliwa, radośna, a w śpiewie jej brzmiała bezgraniczna żałość i tęsknota...

Towarzystwo, idące od miasta, musiało poczuć urok tego głosu, gdyż rozmowy i śmiechy przycichły nagle, a kilka głów odwróciło się w stronę śpiewającej dziewczyny. Pomiędzy głowami tymi była jedna, pokryta jasnym, krótkim, szczeciniastym włosem, z której oczy błyskały przykrym, czerwonawym światłem. Głowa ta i oczy były własnością znanego nam pana sekretarza, który w tej chwili właśnie

przystanął, usta przygryzł, powieki na oczy zasunął i lekko pobladł na twarzy. Nie trwało to wszakże i minuty i kiedy inni słuchali jeszcze, pan Aleksander Stanisławowicz Kosickij, uważany w miasteczku za bardzo miłego kawalera, do dam się zwrócił i roześmiał się swoim skrzypiącym głosem, jakimś kancelaryjnym konceptem nawiązując przerwaną rozmowę. Rozmowa ta wszakże nie kleiła się jakoś. Sam pan sekretarz przypomniawszy sobie bardzo pilny interes, odprowadził towarzystwo tylko do tak zwanych "Dąbków", niewielkiej polanki, zarosłej zrzadka tarniną, wśród której stały tu i ówdzie pojedyncze dęby — poczym spiesznie ku miasteczku wracał.

Hanka śpiewała. Jej szara, szczupła, przygięta ku ziemi postać odbijała ciemną sylwetką na tle zórz zachodnich, niewiele się różniąc od tych kamieni polnych, które, wyzbierane przez pastucha, na miedzy kupkami leżały. Zajęta myślą o trzewikach, dziewczyna dokopywała redliny, posuwając się spiesznie ku żerdziom, grodzącym pólko od strony szosy. Blisko już była, kiedy cień jej jakiś upadł pod nogi. Podniosła głowę i nagle zamilkła. Przed nią stał, oburącz wsparty na żerdzianym płocie, pan sekretarz, błyskotliwie spoglądając z pod zmrużonych powiek. Jeszcze dziewczyna nie zdążyła się opamiętać w swoim osłupieniu, kiedy szanowny filar magistratu zaskrzypiał głosem przyciszonym nieco:

— Ty czemu się nie jawiła do mnie w kancelarji? Czemu się niemeldowała?... a?...

Po Hance ciarki przeszły. Przez parę ostatnich tygodni zapomniała zupełnie, przy ciężkiej swojej pracy, o meldunkach, o kancelarji, o wszystkich urzędach. Chwilami zapominała nawet o pobycie, o więzieniu, o całej przeszłości. Zdawało jej się wówczas, że całe życie zeszło jej na wygrzebywaniu kartofli z czarnej, wilgotnej ziemi i że nadal całe też

tak samo schodzić jej będzie. Były to dla niej najszczęśliwsze chwile. Ale przeszłość była i dopominała się o nią, a cień żółtego więziennego gmachu wydłużał się i aż tu padał na nią. Była w pobycie. Zafrasowała się i spuściła głowę.

— Tak cóż? — przemówił pan sekretarz, rozszerzając nagle źrenice i jaskrawym spojrzeniem obejmując postać stojącej przed nim dziewczyny. — Gadaj!... a?...

Hanka podniosła ku niemu oczy strwożone.

— Kiedy ja, wielmożny panie, służby nijakiej w mieście nie znalazła... ja tu tak tylko na wyrobek kopię...

— Tak trzeba ci było i tak się jawić i meldować. Ja ciebie na dniach szukać kazał. Tobie kara będzie zato sztraf... rozumiesz? a?... Trzy niedziele temu nazad przyszła i nie meldowała się ani raz... Ot co! A paszport twój gdzie?

Dziewczyna była jakby skamieniała. Wszystkie złote nadzieje, jakie przed chwilą roiła zpowodu owych dziesięciu złotych i spodziewanych trzewików, opadły jej z serca tak, jak opadają liście z drzewiny pod tchnieniem jesiennego wichru. Nie znając ani istoty prawa, które ją dosięgało, ani zakresu władzy, pod którą tu była, lękała się wszystkiego. Owszem, zdawało jej się, że każdy ma moc uczynienia z nią co mu się podoba. Straf, kara, majaczyły jej po głowie niby dwa dziwaczne widma, z których każde wyciągało długie, długie ręce po jej krwawy zarobek. Pod wpływem niepokoju tego przycisnęła obie dłonie do szczupłej piersi, gdzie w zanadrzu miała chuścinę z swymi dziesięciu złotymi.

Pan sekretarz tymczasem obejrzał się ukradkiem na prawo, na lewo, błysnął oczyma, zasunął je powiekami i zapytał zcicha:

— A gdzie ty nocujesz? a?...

— Tu, wielmożny panie, nocuję.
— Gdzie "tu"? W karczmie?...
— Nie, wielmożny panie, tutaj...
— Tam, w szopie?... a?...
— Nie, tu... tu, na polu...
Pan sekretarz zdziwił się.
— Jak?... Na polu?... sama?...
— Juści-że...
— A tobie nie zimno? a?...
— Juści-że... wielmożny panie.
— Tak na tobie na wódkę. — Tu pan sekretarz sięgnął do kieszeni i rękę z dziesiątką do dziewczyny wyciągnął. — Do karczmy idź, rozgrzej się.

Chciał więcej coś mówić, ale na drodze podniosła się kurzawa i rozległy krzyki chłopaków, spędzających bydło.

Skoczył tedy pan Kosickij przez rów na drugą stronę szosy i, zanim Hanka podziękować mu zdążyła, oddalił się pospiesznym krokiem. Dziewczynie zrobiło się czegoś dziwno. Młody pan był miłosierny, ale coś ci srogiego miał w oczach... O sztrafie mówił, o karze, a dziesiątkę jej zadarmo dał... No, no... Patrzała za odchodzącym, obracała pieniądz w ręku i kiwała głową; a jakby nie będąc pewną, czy dziesiątka ta sprawiedliwie do niej należy, nie śmiała jej wiązać w swoją chuścinę, tylko ją w kieszeń wsunęła. Zabrała potym resztę wykopanych kartofli i z trudem sobie zadawszy worek na plecy, poszła go wysypać na przykryty słomą kopczyk, który stał pomiędzy karczmą a stodołą.

Widok słomy nasunął jej myśl, że gdyby szynkarz użyczył jej choć płachetkę trzęsionki, jaką bydłu ścielą, byłoby jej daleko i suszej i cieplej spać, niż na tej świętej ziemi... Przystanęła tedy przed karczmą, czekając, aż Gawroński wyjdzie, gdyż szynkarka nawet do sieni po motykę niechętnie ją

puszczała, utrzymując, że ino patrzeć, jak ten obieżyświat co porwie.

Stała więc Hanka pokornie pod ścianą, głęboko zasunąwszy ręce w rękawy i wtuliwszy głowę pomiędzy ramiona, jak to był u niej ruch zwykły. Nadszedł Gawroński, pokłoniła mu się do kolan, prosząc o "ździebluchno" słomy. W tejże wszakże chwili wypadła czatująca przy oknie szynkarka i ująwszy się pod boki, krzyknęła:

— Widzieliśta, moi ludzie, żeby na taki ciężki rok słomę po polu roznosić? Własnym krowinom człowiek ujmuje, aby ino, aby ino, póki Pan Jezus żyta omłócić nie da, a takie tam ladaco będzie tu sobie posłanie "rządziła". Może ci jeszcze pierzynę wynieść? Abo łóżko? Co?... A ty, głupi, czego stoisz i oczy wytrzeszczasz? — fuknęła na męża. — W izbie pełno ludzi. a on tu będzie stał i "bałamoncił"!

— Ino nie wrzeszczyć, matka! ino nie wrzeszczyć, bekowiska po próżnicy nie robić! — odrzekł Gawroński wolnym i dobitnym głosem — Panu Bogu ino z tego obraza, a ludziom śmiech. A cóż to ja nie gospodarz, żebym zaś sam ze siebie nie wiedział, co do czego jest należące? Juści, że krowy pierwsze, to się wie. Anoby się i dziewczynie patrzyło ździebko słomy.

Zaniosła się do nowego krzyku karczmarka, ale Gawroński energiczniej jeszcze machnął ręką i do Hanki się zwrócił.

— Słuchajże, dziewucha — rzekł. — Zrzucił ta Bartek z kalenicy parę snopków, co bez nie do sąsieka ciekło; idźże ty za stodołę i snopek abo i dwa snopki sobie weź. Choć to tam nie tęga obrada, boć to wszystko zbutwiało do licha, ale równo cieplej, niż na szczerej roli.

Pocałowała Hanka szynkarza i szynkarkę w rękę i za stodołę poszła. Okazało się jednak, że zrzucone z kalenicy snopki były zupełnie przegniłe i aż ciężkie z mokrości, że ich zatym i brać nie było co. Wróciła tedy na kartoflisko, posłanie sobie "rządzić" z wilgotnego worka, jak i dawniej.

Tymczasem owe przedzachodnie mgły i tumany zgęstniały i zaczęły mżyć drobnym, przejmującym deszczem. Kilka gwiazd, które tuż po zachodzie słońca wybłysły były, skryły się teraz i roztopiły w szarym, bezbarwnym powietrzu.

Okrywała się Hanka jak mogła, a co na jeden bok zmokła, to się przewracała na drugi. Przewracanie się wszakże takie z boku na bok nie dozwalało jej zasnąć. Otwarła tedy oczy i rozpatrywała się dokoła w coraz gęstniejącej ciemności. Patrzyła najpierw na niebo i wyraźnie widziała, gdzie się ono zaczyna, a gdzie kończy; patrzyła na karczmę, a z pod jej wysokiego, czarnego dachu spostrzegła wybłyskujące w dwuch oknach światełka mętne i żółte; patrzyła na las i widziała, jak pochmurzone jodły stoją martwo i jak pod nimi jałowce czernieją. Wreszcie zatrzymała oczy na wiatraku, którego nieruchome śmigi sterczały ku niebu, jakoby podniesione ramiona. Wkrótce wszakże linje zaczęły się zacierać kształty niknąć, a coraz grubsza ciemność rozlewała się z każdą chwilą dokoła. Najpierw zniknął las, potym wiatrak, potym owe światełka w karczmie, wreszcie i niebo zlało się z ziemią, a dziewczynę objęła bezgraniczna noc, w której jeśli i były nawet jakie widma, to oko ludzkie dojrzeć ich nie mogło.

Koło północy już być musiało, kiedy ją doszły jakieś niewyraźne szmery, jakby deptanie przywiędłych łęcin kartoflanych. Podniosła głowę i patrzyła. Nic wszakże dojrzeć nie było można w tych gę-

stych, dotykalnych niemal mrokach. Dziewczyna znów zasypiać zaczęła.

Wtym zdało jej się, że czuje jakiś gorący oddech tuż nad sobą i że jakieś chłodne, wilgotne palce ślizgają się po jej włosach i szyi. Otwarła szeroko oczy, wstrzymując oddech i ręce wyciągnęła przed siebie. Ręce trafiły na schylonego ku niej w ciemności człowieka. Serce jej się w piersiach rzuciło. Ani chybi, złodziej przyszedł ją okraść z jej krwawicy...

Zerwała się w jednej chwili, chwyciła leżącą przy sobie motykę, której, zajęta ową słomą, nie odniosła z wieczora do karczmy. Niech się co chce dzieje, bronić będzie swej chudoby. Stanęła pochylona naprzód, z otwartymi, bez głosu ustami, ściskając oburącz motykę. Ciało jej dygotało jak w febrze.

Wtym posłyszała tuż przy sobie szept świszczący i stłumiony:

— Czego się zrywasz, głupia?...

Jednocześnie dał się słyszeć suchy trzask z potartej w ciemnościach zapałki, a przy jej błękitnym płomyku ujrzała Hanka pana sekretarza. Stał przed nią z twarzą wzburzoną i bladą. Ujrzawszy go, dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie i cisnąwszy motykę, jak szalona się w stronę karczmy rzuciła. Pan sekretarz puścił się za nią; ale już psy młynarskie wściekle od wiatraka ujadać zaczęły, a tuż za nimi słychać było głos Fabichowego parobka, który z ganku krzyczał:

— Huź go! złodzieja... Huź go!...

Wtedy goniący Hankę człowiek stanął, a wyciągnąwszy za dziewczyną pięść, potrząsnął nią w ciemnościach nocy i szepnął z mściwym zgrzytem:

— Ja ci!... Ja tobie!...

Wrzawa, jaką uczyniły psy młynarskie, nieprędko ucichła. Z godzinę jeszcze słychać było, jak z

krótkim, rekognoskującym łajaniem oblatywały w wielkich skokach pole, jak się wichrem pod las poniosły, a zwietrzwszy karczmarskiego brytana, skomląc ku niemu przypadły, jak potym wytarzawszy się po roli w trójkę, na drogę się rzuciły z głośnym, docierającym, zajadłym szczekaniem.

Gawroński, który mało spał tej nocy, zdziwił się wielce, ujrzawszy nazajutrz Hankę weśniętą pod wóz w rogu podwórka i, mimo późnej godziny, głęboko uśpioną.

— A ty co tu robisz? — huknął na nią z góry.

Dziewczyna drgnęła i otworzywszy szeroko oczy, patrzyła na szynkarza jakby nieprzytomna. Trącił ją butem.

— Czegoś ty tu wlazła, niemrawo? Dzień jak wół, a ta się wyleguje, jak za dobrych czasów. Potrzebnaś tu?...

Wygramoliła się zawstydzona z pod woza i zawróciwszy w milczeniu, na kartoflisko poszła. Idąc, patrzyła przed siebie zwykłym swoim, trochę tępym, trochę znużonym wzrokiem. Zdawało się, że sen poranny zatarł w niej wspomnienia ubiegłej nocy. Nawet natknąwszy się na porzuconą motykę, podniosła ją powolnym, obojętnym ruchem, jakby nie pamiętając, skąd się tu wziąć mogła. Dopiero kiedy nieopodal od legowiska swego zobaczyła w bruździe czapkę z lampasem i gwiazdką, rozparzyła się na twarzy gwałtownym rumieńcem, chwyciła chustkę i worek, a omijając zdaleka zostawioną przez napastnika zgubę, poszła na drugi koniec redliny i z pospiechem kopać zaczęła.

Od miasteczka tymczasem ukazał się strażnik.

Szedł zwolna, z głową spuszczoną, pilnie się rozglądając po drodze. Gawroński zobaczył go zdaleka, do izby wpadł, baryłkę araku i stojącą za piecem flintę do alkierza wyniósł, z szynkwasu butelek kil-

ka sprzątnąwszy, w łóżko je pod pierzynę schował, poczym przed karczmą stanął, tyłem się do drogi obrócił i szmychał nosem.

Fedorenko podszedł tuż do niego.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry! Dzień dobry! — Szynkarz udał wielkie zdziwienie. — A pan starszy skąd się tu tak rano wziął?

— Skąd się wziął? Ot, wesoły z was człowiek, pan Gawroński! Skąd się miał wziąć? Z nieba spadł.. A co nowego słychać?

— I... coby tam miało być nowego. Stara bieda i tyła... — Gawroński poskrobał się w głowę. — Człowiek od kłopotu i dospać nie może...

Fedorenko obejrzał się na strony.

— A gdzie to, pan Gawroński, ta dziewczyna, co to u was służy?

— A bajno w polu... Tylko że to ona u mnie służyć nie służy, ino tak na dnie wyrabia.

— A paszport jej u was jest?

— A dyć ta leży w półskrzyneczu... Co ta taki paśport!... — Wzruszył ramionami.

— No, tak ja jego do kancelarji wezmę i dziewczynę wezmę...

— O laboga! A to bez co?

— Czort znajet. U mnie naczalstwo jest, i rozkaz jest, i służba. Tak ja po służbie idę i po rozkazie idę. A co mnie robić? Jaby wolał w spokojstwie żyć. Tak cóż, kiedy niemożna. U mnie dziś żonka chora, a mnie trzeba tam iść i tam iść... Ot co!

Gawroński w głowę się drapał i językiem cmokał.

— O lo Boga, lo Boga!... A dyć my jeszcze wszystkich kartofli nie wygrzebali, a tu piechoty idą... A niechże cię z taką robotą!... Choroba mi nadała taką dziewkę brać...

Weszli do izby. Po chwili wyszedł z niej sam strażnik z czerwonym papierem w ręku i prosto się ku dziewczynie skierował, oczyma po ziemi wodząc, aż obaczywszy w bruździe czapkę pana sekretarza, obejrzał się, podniósł ją i szybko pod płaszcz schował. Od karczmy ukazał się teraz Gawroński, wciąż markotny i skrobiący się w głowę. Kilkanaście kroków uszedł i stanął, nie wiedząc, czy iść ma, czy zostać.

Hanka, ujrzawszy strażnika, nie okazała wielkiego zdziwienia. Usta jej tylko nieco zbielały i ręce trząść się zaczęły. Niżej się tedy jeszcze ku ziemi schyliwszy, wygrzebywała palcami kartofle, bo motyki jakoś utrzymać nie mogła. Tuż przy niej był Fedorenko, kiedy się nagle rozprostowawszy, podniosła ku niemu twarz mroczną, postarzałą jakby od wczoraj.

Chwilę tak stała ciemna i szczupła na tle pochmurnego ranka, słuchając, co strażnik mówił, poczym zabrała swoje manatki i ku karczmie poszła. Fedorenko szedł za nią; niepokoiła go obojętność dziewczyny. Zbliżyli się do Gawrońskiego.

— Ostańcie z Bogiem, gospodarzu... — przemówiła posępnie Hanka. — Będzie tam jeszcze ze dwie kupki niewyzbieranych kartofli w redlinie, a tu macie worek i motykę.

Gawroński skrobał się w głowę.

— A dyć cię tam trzymać nie będą, kiedy nie mają zaco. Wrócisz, to i wyzbierasz.

Dziewczyna schyliła mu się do kolan.

— Ostańcie z Bogiem!

— Idź z Bogiem! — odrzekł karczmarz miękkim jakimś głosem. Żal mu się teraz zrobiło tej cichej, śniadej dziewczyny, od której pies jego podwórzowy lepsze miał wygody.

— Brrr... zimno! — przemówił, otrząsając się

Fedorenko. — Tak my by może, pan Gawroński, wodoczki się napili?

— Czemu nie! Żeby tak o co jak o to...

Poszli we troje ku karczmie. Fedorenko i Hanka zatrzymali się przed progiem; szynkarz wyniósł flaszkę i kieliszek.

— W ręce wasze, panie starszy...

— Na wasze zdrowie!

Fedorenko wypił, otrząsnął się, splunął i kieliszek karczmarzowi oddał.

Gawroński do Hanki się zwrócił.

— Naści i tobie, mizeroto, zagrzej się...

— Bóg wam zapłać za wszystko dobre.

— A wracaj się, jak cię ino puszczą...

Nie odpowiedziała i pierwsza w stronę miasteczka ruszyła. Droga leżała przed nią równa, prosta, szara. Wiatrak stał we mgle i bez ruchu, wilgotne pary rozwlokły się po polach szeroko. A kiedy tak szła wśród tej pustki głuchej, słysząc za sobą człapiące kroki strażnika, wydało jej się, że znów nad nią huczy owa wielka, wielka woda.

IV.

Koza w G. niewiele się różniła od innych tego rodzaju instytucji małomiasteczkowych. Zabite deszczułkami okienko rzucało skąpe światło nabłotnistą podłogę, odrapane ściany krzywiły sie każda w inną stronę; pod jedną ze ścian tych stała brudna, wąska ława, przez drugą slychać było wesołe chrząkanie magistrackiej trzody. Grube płachty pajęczyn zwieszały się od pułapu i pomrocznych kątach, garść słomy leżała pod oknem, pieca wcale nie było. Zbytkowną część budynku stanowiły drzwi, nieheblowane wprawdzie, ale z nowych, mocnych desek wielki-

mi bretnalami zbite, na urząd dopasowane, ryglem i kłódką z zewnątrz opatrzone.

Koza w G. nigdy nie bywała pusta. A jeśli w niej nawet chwilowo lokatora zabrakło, wstawiano tam stare beczki od kapusty, zsypywano wióry, plewy, ogrodowiznę, łupiny od jarzyn — co Bóg dał.

Powietrze też było tu ciężkie, duszące, zastarzałym jakimś kwasem przejęte, a przegniłe przyciesie od strony chlewika sączyły wilgoć nieustanną.

W takie to kozie od czterech dni siedziała Hanka, kiedy wpuszczono do niej nową lokatorkę. Była to Walera, wesoła towarzyszka Calika, amatorka spódnic z wszywkami i pończoch w paski, które po długich poszukiwaniach i licznych przygodach udało się wreszcie odebrać pani kasjerowej, w stanie pozostawiającym coś niecoś do życzenia.

Hanka tylko co przebyła silny paroksyzm febry i leżąc na wznak w gorączce, szklistymi oczyma wodziła po brudnym pułapie. Brudnego pułapu nie widziała wszakże, tylko napełniony niebieskawym dymem tytoniowym pokój kancelaryjny, w którym ją Fedorenko przed wielmożnym sekretarzem trzy dni temu stawił. Pokój ten pusty i mroczny majaczył teraz przed dziewczyną, jak otchłań bezdenna, z głębi której czerwone źrenice pana sekretarza gorzały ku niej, niby dwie latarnie. Przewróciła się na bok, nie mogąc znieść ich widoku i przymknęła oczy. Wtedy w uszach jej zaczęły skrzypieć i zgrzytać wiatrakowe śmigi, a w ich pisku słyszała wyraźnie świszczące szepty: Czego się zrywasz, głupia... głupia... głupia...

Szepty te zmieniły się po chwili w jakiś jęk przeciągły, który, nie wiedziała, czy szedł z ziemi, czy z nieba, czy z jej własnej piersi; potym zahuczał gdzieś dzwon i huczał, huczał, aż w huku tym zabrzmiał głos pana sekretarza: Na trzy dni w ko-

morku, a potym do mnie, do prania... Won! — Zerwała się i siadła. U drzwi słychać było krzyki, płacz i szamotanie. Zacisnęła zęby i pięście. Zdawało jej się, że to ją ciągną już do tego prania i że się ona obronić musi, musi...

Nagle rygiel odskoczył, a wepchnięta do izdebki Walera znowu się z wrzaskiem do drzwi rzuciła, łżąc strażników na czym świat stoi, dopóki kłódka nie została zamknięta, a kroki odchodzących nie ucichły zupełnie. Wtedy uspokoiła się w jednej chwili, obejrzała, otarła oczy, a poznawszy siedzącą na słomie Hankę, przyskoczyła do niej i na znak radości z tak szczęśliwego spotkania, z całej siły ją kułakami okładać po plecach zaczęła.

Oprzytomniwszy w ten sposób chorą, na słomę się przy niej rzuciła i przerywając sobie co chwila klątwami i śmiechem, rozpowiadała, w jaki sposób ją razem z Calikiem na Utracie chwycono. Chwycenie to wszakże niebardzo ją matrwiło.

— Co oni mi tam zrobią, pogańskie dusze! — kończyła z wielką fantazją. — Koza... wielka mi rzecz, koza! A cóż to ja kozy nie znam, czy co? I jeszcze co to za koza! Powiadała mi Korbielakowa, że tu cała jedna ściana taka zgniła, że jakby kto dobrze kichnął, toby się to wszystko do licha rozleciało. Żeby ich!...

Obejrzała się po kątach.

— A co oni? drugiej słomy dla mnie nie dali? Skoczyła do drzwi i zaczęła w nie bić pięścią.

— Nie szumi! — odezwał się głos przeciągły z zewnątrz.

— Ty sam nie szumij, sadło niedźwiedzie! — wrzasnęła Walera. — A czemu to wy nam drugiej słomy nie dali? Idź zaraz dokładaj panu burmistrzowi, co tu na dwie tylko jedna słoma. Żeby was!...

Ucichła na chwilę i jak stała, tak przykucnąwszy przy drzwiach na ziemię, głowę rękami podparła i szlochać zaczęła. Wyszlochawszy się, na barłóg poszła, wpoprzek się na nim rzuciła i wkrótce chrapnęła głośno.

Hanka siedziała ciągle z twarzą rozpaloną, wyciągniętą szyją i wlepionym w kąt izby wzrokiem. Wzrok ten wyrażał najwyższą, graniczącą niemal z obłędem trwogę. Splecione jej ręce obejmowały kolana, dreszcze wstrząsał jej szczupłym, wątłym ciałem. Ubiegła tak godzina, ubiegły dwie, a w miarę zapadającego zmierzchu zaczęły się po kątach z piskiem gonić szczury, żerujące tu na resztkach głąbów po niedawno sprzątniętej kapuście. Z za ściany dolatywało głuche chrząkanie. Walera chrapała, jakby ją kto dusił. Coś ohydnego było w tych szmerach, toczących ciszę tej brudnej izby, jak czerw toczy trupa...

Hanka usiłowała myśleć. Nigdy jej to łatwym nie było, a teraz przychodziło z podwójną trudnością. Myślała jednak.

...Trzeci dzień siedzi już w kozie... Trzeci raz słyszy, jak szczury żerują nocą... A pan sekretarz mówił: na trzy dni w komórkę... A potym... do prania... do niego...

Wstrząsnęła się.

Kto jej to mówił kiedyś, że... aha, Walera mówiła Korbielakowej... Walera śpi... O, jak to chrapie... Nie, to Korbielakowa powiadała, że tu ściana zgniła...

Obróciła się z trudem za siebie.

...Która też to ściana?... Matko najświętsza, jak jej też w głowie huczy! Żeby tak choć jedna deska...

Opuściła ręce i wsparłszy się nimi na barłogu,

usiłowała powstać. Ale tylko ramiona dźwignęła w górę i znowu opadła.

...Nie pójdzie jutro do prania... Ani jutro, ani nigdy... nie pójdzie do niego... Żeby się ta święta ziemia pod nią rozstąpiła — nie pójdzie! Tak jej Panie Boże dopomóż i wszyscy "święci"...

Wyciągnęła rękę, a natrafiwszy po omacku dzbanek, wypiła resztę wody.

Upłynęła jeszcze godzina. Sen morzył dziewczynę, ale gorączka ustąpiła nieco.

...Jeśli to prawda, że tu ściana zgniła, to chyba ta, co przy niej beczka stoi... Widziała we dnie, że tam deska spaczona odstaje i że przez nią dzień świta

...O Matko przenajświętsza!.. Żeby też tak...

Nie dokończyła swojej myśli, ale jakby dźwignięta jej siłą, wstała i macając wzdłuż ściany do beczki szła wśród pisku spłoszonych szczurów. Doszedłszy, rękoma się jej wierzchu chwyciła, bo ją znów zimno ogarniać zaczęło i stała tak, dygocąc cała i szczękając głośno zębami. W głowie jej huczało, zapomniała, gdzie jest i poco tu z barłogu się przywlokła; instynkt wszakże jakiś trzymał jej zaciśnięte ręce, a usta poruszały się same przerywanym szeptem: ... O Matko przenajświętsza...

Oprzytomniała wreszcie, ściągnęła szczękające zęby i wszystkie siły zebrawszy, beczkę piersiami i rękoma pchnęła. Beczka wszakże nie poruszyła się z miejsca. Wtedy dziewczyna zagłębiła w niej rękę i przekonała się, że prawie pod wierzch nasypana jest plewami. Schyliła się tedy i zaczęła je wybierać z gorączkowym pośpiechem. Pot wystąpił jej na twarz, nogi się pod nią trzęsły, ale kupa plew rosła, a tuż koło niej zbiegały się żerujące szczury. Poruszyła się wreszcie beczka z głuchym dudnieniem, a przyciśnięta nią poprzednio do połowy deska więcej jesz-

cze odchyliła się od zrębu. Hanka przysiadła na ziemi i, dysząc ciężko, odpoczywała przez chwilę. Potym nagle za deskę chwyciła, ciągnąc ją do wnętrza. Ciągnęła, odpoczywała i znowu ciągnęła, usiłowania jej wszakże długo były daremne. Dziewczyna przecież nie puszczała deski. Paznogcie jej, konwulsyjnie w drzewo wszczepione, krwawić zaczęły, zaciśnięte zęby nie przepuszczały już teraz żadnego szeptu, jakaś rozpaczliwa energja rozdymała jej nozdrza, a świszczący oddech coraz chrypliwszym się stawał.

Zatrzeszczała wreszcie nadgniła deska raz, potym drugi raz i trzeci, aż pękła wpośrodku ściany, a ciągnąca ją do siebie dziewczyna nawznak zamroczona padła. Zimne wszakże powietrze nocy, szeroką falą wpływające teraz do wnętrza komórki, orzeźwiło ją prędko. Zerwała się i ku Walerze, nadsłuchując, wyciągnęła szyję. Walera spała mocno, chrapiąc przewlekle żałosnym, minorowym tonem. Przyklękła wtedy Hanka i wsunęła głowę przez otwór zrobiony w ścianie. Cicho było dokoła i ciemno. W ciemność tę wpatrzyła się dziewczyna chciwie, jakby ją piła wzrokiem. Przesunęła się potym cała na drugą stronę ściany i z bijącym sercem przy niej stanęła, niepewna, którędy uciekać. Wtym przypomniało jej się, że zostawiła na barłogu swoją wielką chustkę. Pokiwała głową i westchnęła, poczym, skuliwszy się jak mogła, chyłkiem pod ścianami na tyły zabudowań gospodarskich wyszła. Kołowrót tu stał, który pod ręką dziewczyny skrzypnął lekko. Skrzypnięcie to uderzyło w nią nagłym jakimś przypomnieniem. Sięgnęła do kieszeni i wyjąwszy z niej dużą miedzianą dziesiątkę, którą pan sekretarz dał jej był w polu na wódkę, na słupku ją położyła.

Przez chwilę jeszcze widać było drobną postać uciekającej dziewczyny w stronę pola, poczym postać ta wsiąknęła w ciemność i znikła.

V.

Mżyło. Zimny i chmurny dzień miał się ku schyłkowi, coraz grubszym zachodząc zmierzchem. Gromady robotników i robotnic, wypuszczone z śródmiejskich fabryk, rozbijały się na pojedyncze kupki, drobniejące w miarę zapuszczania się w odleglejsze uliczki ubogich dzielnic miasta. Gwar ich rojny i nieokreślony zrazu słabł i przycichał stopniowo, zmieniając się na wyraźniejsze rozmowy dążących w jedną stronę towarzyszy. Środkiem ulicy szli ciężkim krokiem murarze, niosący cebrzyki, kielnie, sznury lub kawałki drzewa, to w ręku, to na plecach, jak któremu dogodniej się zdało; obok, po stronach, nadążały im kroku najemnice w białych płóciennych świtkach, z czerwono żółtymi od pyłu ceglanego twarzami.

Pomiędzy tą rzeszą ludzką, posuwającą się hałaśliwie, zamaszyście, śmiało, snuł się wzdłuż parkanów cień drobny, skulony, trwożliwie rozglądający się dokoła. Była to Hanka. Szła szybko, ostrożnie, popychana usuwała się, znikała niemal, starając się tyle tylko zabrać miejsca, ile koniecznym było do postawienia dwuch stóp bosych, w drewnianych trepkach tkwiących. Chude jej łokcie przyciśnięte były do boków szczelnie, ręce głęboko wsadzone w rękawy zwisającego z pochylonych pleców kaftana, mała, szara chusteczyna, na głowie związana, niedostatecznie okrywała ciemne włosy. Była to ta sama chusteczyna, którą Hanka w zanadrzu nosiła ze swymi dziesięciu złotymi; teraz w nią wiązać nie było co, a kupno trzewików przeszło w sferę niedościgłych marzeń.

Tydzień już minął od owej nocnej ucieczki z magistrackiej kozy, a dziewczyna teraz dopiero wkradała się do Warszawy pod osłoną wieczornych mro-

ków i rojowiska wracających gromad robotniczych. Instynktem jakimś wiedziona, z miejsca zaraz odbiła się daleko na stronę, a unikając gościńca, nie ku Warszawie, ale ku Mszczonowu się puściła, po zaroślach nocując, manowcami idąc, a do ustronnych karczem zrzadka tylko, dla ogrzania się i kupna chleba zachodząc. Jak jej na to wszystko rozumu starczyło — dziwowała się sama sobie. To, na co się ważyła pod wpływem gorączki i nieokreślonej zgrozy, obudziło w niej ducha głuchego buntu i oporu. Było to uczucie nowe dla niej i sprawiające dziwny przewrot w jej biernej, trzechletniem więzieniem do reszty zgłuszonej naturze. Czyny jej i ruchy tępej zawsze myśli i teraz były przeważnie instynktownymi; ale instynkt ten zostrzył się, odkąd mu w pomoc przyszła posępna świadomość, że sam na siebie liczyć tylko musi. Kluczyła tedy dziewczyna w tę i ową stronę, jak zwierzę obławą ścigane; dwa razy przeleżała w torfiarskich szopach w febrze, psy poszarpały na niej odzież, wyschła z głodu i niewczasu, i teraz dopiero, kiedy ją wszystkie siły odeszły, zawróciła i, zakreśliwszy w swej drodze szeroki łuk, zaczęła się zbliżać ku Warszawie, omijając gościniec, a tylko zdala kierunku się jego pilnując. Warszawa zdawała się jej schroną najbezpieczniejszą. Instynktem odgadywała, że jak gąsienicy na liściastym krzewie, tak i jej łatwiej się będzie ukryć w wielkiej ludzkiej gromadzie. Przeszła jeden zaułek, przeszła drugi, pod mury, pod parkany się cisnąc i ginąc w cieniu, aż dopadła furtki niskiej, odemknęła ją do połowy i przemknąwszy się, na podwórku, zawalonym tarcicami i klocami drzewa, stanęła. Posesja nie miała frontu, ale po obu stronach podwórka wznosiły się oficyny. Hanka, dobrze widać drogi świadoma, skręciła na lewo, w sień weszła i schyliwszy się pod brudne błotniste schody, zaczęła się

spuszczać w czarny otwór, do suteryn wiodący. Ciemno tu było jak w rogu, a idąca dziewczyna potknęła się dwa czy trzy razy, to o szaflik z mydlinami, to o miotłę i łopatę stróża. Kierując się wszakże wzdłuż wilgotnej ściany, doszła do drzwi ostatnich, na które, przez zatkane do połowy wiechciem słomy okienko, nieco światła od latarni padało, drzwi te pchnęła i w odźwierku schyliła się wchodząc. Zrazu nie widziała nic przed sobą, gdyż izbę wypełniały kłęby pary, unoszącej się z balji, która zajmowała honorowe miejsce przy kominie. Tylko plusk wody i tarcie bielizny, w połączeniu z głośnym sapaniem, oznajmiały obecność praczki Walentowej.

— A kto tam? — odezwała się od balji baba, kiedy drzwi pchnięte uderzyły klamką o ścianę.

Hanka nic nie odrzekła zrazu, tylko ciężko dysząc, o odźwierek się wsparła. Obtarłszy tedy czerwone ręce z mydlin w mokry fartuch, Walentowa do drzwi podeszła.

— Wszelki duch... a toć to Hanka! — zawołała napół z dziwem, napół z radością. — A odstąpże ode drzwi Hanuś! a pójdźże na izbę!

Odrzuciła z drogi pęk brudnej bielizny i pociągnęła dziewczynę za sobą. Hanka dała się prowadzić jak dziecko. Suchy kaszel wstrząsał nią całą. Walentowa zwróciła ją twarzą do komina, nad którym paliła się lampka mdłym, migotliwym światełkiem, a sama, stanąwszy przed dziewczyną, żałośnie w ręce klasnęła.

— Patrzajcież moi ludzie, co oni z niej zrobili!. A to ci ją wyblechowali, jak na blechu... A to ci z niej węckę zrobili... Naści, popij trochę — dodała, poczerpnąwszy wody półkwartkiem ze zbutwiałej konewki.

Hanka uspokoiwszy się nieco, wodę wypiła, pocałowała Walentowę w rękę i objęła za kolana. Ba-

ba przytuliła ją do szerokiej, spoconej, przesiąkłej wonią mydlin piersi. Uścisk ten przepełnił serce dziewczyny. Padła na stołek i głośno płakać zaczęła. Walentowa stała nad nią, kiwając głową.

— A to ci ją zmizerowali, niech ich choroba!.. A to ci ją ususzyli!.. Dziewczyna była jako kwiat, a tera spojrzeć nie ma na co... I cóż ty poczniesz, chudobo?.. Na dobre cię puścili?..

— Ale! Na dobre tam... — przemówiła wreszcie Hanka i znów mocno płakać zaczęła.

Zaniepokoiła się Walentowa.

— To i jakże ty, Hanuś...

— Bijcie mnie, zabijcie, ale mi się o nic nie pytajcie! — odrzekła Hanka z jakąś rozpaczą w głosie. — Aby tę nockę u was przebędę, a potym niech się co chce dzieje...

— Widzieliśta, moi ludzie, głupią? — przemówiła Walentowa, pod boki się rezolutnie ujmując.— A co to my nie swojaczki, czy co, żebyś ty u mnie poratowania nijakiego nie miała? Nie byłam to twemu ojcu kumą, co mi jeszcze półpięta złotego pożyczył na drogę do Częstochowy, świeć Panie nad jego duszą...

Hanka znów po jej rękę sięgnęła.

— Nie gniewajcie się, moi złoci! moja Walentowa! Już wam wszyściuśko opowiem, tylko mnie ten żal odejdzie... moi święci!

Baba się udobruchała.

— To czekajże, Hanuś — wyrzekła po chwili z namysłem — skoczę ja do sklepiczarki, prania licho nie weźmie, nagotuję ci herbaty, przyniosę bułek, boś ty i głodna może, mizeroto...

Chwyciła z łóżka chustkę, zarzuciła ją na głowę, zakrzątnęła się po izbie i wyszła.

Hanka oparła się plecami o wilgotną ścianę i przymknęła oczy. Ciepło ją rozżarzyło, blada jej

twarz pokryła się kroplami potu, spuszczone rzęsy rzucały długie cienie na wychudłe policzki, uboga odzież podnosiła się nierównym ruchem na wstrząsanych ostatkiem łkania piersiach. Po chwili uspokoiła się i — przejęta wilgotnym ciepłem izby — zasnęła.

Walentowa tymczasem wróciła, rozdmuchała przygasły ogień, przystawiła garnczek, na stole położyła kawałek wędzonki i kilka bułek, znów się schyliła, dmuchając pilnie na ogień, który jaskrawo oświetlał jej szeroką, poczciwą twarz mazurską, — a kiedy wszystko było gotowe, stanęła przed Hanką, nie wiedząc, czy ją budzić, czy nie budzić...

Dziewczyna miała oczy niedomknięte, zmrużożone, a usta zaciśnięte żałośnie. Wyraz cierpienia przywarł do jej twarzy maską pełną głębokich, tragicznych cieniów. We dnie twarz tę młodą a znędzniałą szpeciła tępość jakaś, jakieś ogłupienie, które po brutalnych ciosach życia, jak po ciosach obucha, zostaje. We śnie panował na niej bez podziału ból i czynił ją na swój sposób piękną.

Walentowa nie zdawała sobie z tego sprawy, a jednak stanąwszy przed dziewczyną, była jakby pod wpływem jakiegoś uroku. Załamała grube, czerwone ręce, kiwając głową, a na usta przychodziły jej słowa pacierza, jakby nad umarłym.

— Matko Boska Częstochowska! Matko wielkiego miłosierdzia! Co oni z niej zrobili, pogany... Dziewczyna była jak róża, jak łania, a teraz rodzony ociec by jej nie poznał... ptak by jej zapłakał... Ino ją do trumny kładź, taka ci bledziuśka... Oj, skrzywdziły ją, pogany, skrzywdziły, niech ich Bóg skarze!.. A psik! — zawołała nagle na burego kota, który, zapachem wędzonki zwabiony, z komina skoczył i, najeżywszy grzbiet w kabłąk wygięty, obcie-

rał się, mrucząc, o leżące na stole specjały,— a psik, ty złe nasienie! A bodajżeś...

Nazajutrz stanęło na tym, że dopóki dziewczyna się nie odgryzie, Walentowa nie puści jej od siebie.

...A cóż to ona, nie kuma? A w stancji albo to roboty mało? Choćby tylko tyle, co wody przynieść i strawę uwarzyć, to i tak się dziewucha przygodzi. A i to jest człowiekowi markotno, że gęby w izbie nie ma do kogo otworzyć, i sam się jak kołek obraca po tych czterech kątach... Żeby tak, Boże zachowaj, choroba, toby kropli wody podać nie było komu. Juści się dziewczynie noga powinęła, co prawda, to prawda, niech ją tam pan Jezus sądzi. Ale równo się sama ze siebie na złe nie puściła, ino z tego głupiego kochania. Wiadome rzeczy... Jak się chłop ladaco zaweźmie, to i najpoczciwszą skusi...

Decyzja, która po tym rozumowaniu w statecznym umyśle pani Walentowej stanęła, była niewzruszona. Nie puści dziewuchy od siebie — i tyle. Hanka ze strachem jakimś przyjmowała nadzieję nowego życia i spokoju. Nie dowierzała swej doli. Przez pierwsze dwa dni chodziła około porządku w izbie jakby zatrwożona, to we drzwi, to w okienko raz w raz poglądając. Na trzeci dzień oswoiła się nieco, na Walentowę zaczęła wołać „ciotko”, głaskała burego kota i snuła się koło komina cicha, rozradowana, z twarzą, której śniadość zdawała się ustępować przed jakimś światłem, z wnętrza bijącym. W oczach jej tylko zostały dawne cienie, właśnie jak te mroki, co się po lasach kryją, kiedy już cała okolica pełna jest świtania.

Na czwarty dzień siedziały obie kobiety w południe przy misce, kiedy drzwi skrzypnęły i stróż wszedł do izby. Hance łyżka wypadła z ręki.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków. A co tam nowego Pan Bóg dał?

— A wedle meldunku...

— Jakiego zaś meldunku? Abom to się nie meldowała? Abom to „karty pobyt" nie wykupiła?

— Ja też do pani Walentowej nie mam nijakiej sprawy, ino do tej panny.

Zaperzyła się praczka. Hanka mocno trząść się zaczęła.

— No to co? To i ta panna będzie miała meldunek i kartę pobyt? Cóż to pan Franciszek rozumie, że to, nie przymierzając, taka, jak te z drugiej oficyny? U mnie się takie rzeczy, chwalić Boga, nie najdują!

Stróż czapkę na głowie przekręcił i skrobał się za uchem. Wymowa pani Walentowej imponowała mu widocznie; postanowił wszakże być nieugiętym.

— A co mnie tam kaci do kogo?! Ja porządku patrzę w kamienicy, bo mam z tego chleb. A panna niech meldunek szykuje, bo ino patrzeć naczelnika... Ja tu zaś przyjdę pod wieczerz...

Cofnął się i drzwi za sobą zamknął.

Kobiety spojrzały po sobie. Hanka miała wzrok przerażony. Walentowa kiwała głową. Znała już historję czerwonego paszportu dziewczyny.

— Na śmierć ci zapomniałam, że tak tera z tymi meldunkami pędzą... Bodaj ich choroba!...

Hanka wybuchnęła płaczem.

— Oj, nie dajcie mnie od siebie, ciotko, na stracenie, nie dajcie!...

— Cichoj! cichoj! — uspakajała ją praczka. — Możeć to jeszcze wszystko Pan Jezus przemieni...

Głaskała ciemne włosy dziewczyny wielką, szorstką dłonią, ale w mięsistym jej obliczu znać było ciężką troskę.

Nadszedł wieczór. Hanka ze drżeniem oczekiwała ukazania się stróża, ale stróż nie przyszedł. Nazajutrz nie przyszedł także. Otucha wstąpiła w serce dziewczyny.

— Może też Pan Jezus da... — powtarzała sobie w duszy. Co ma dać, nie wiedziała dobrze, ale się wiary tej chwytała, jak deski zbawienia.

Upłynał tydzień, była niedziela. Walentowa wybrała się po pieniądze za pranie do "kawalirów z przeciwka", gdy w bramie niespodzianie natknęła się na pana rządcę. Pan rządca był człowiek młody, elegancki, w kamienicy nie mieszkał i zaglądał do niej jak mógł najrzadziej. Właśnie odbywszy to, co nazywał pańszczyzną, naciągał rękawiczkę, kiedy mu baba w drogę weszła. Przystanął, zapinając guziczek i zatrzymał ją skinieniem głowy.

— Co mi to tam stróż mówił, że pani jakąś dziewczynę u siebie bez meldunku trzymasz?

Zatrwożyła się praczka, ale nie straciła miny.

— Iii... cobym zaś miała kogo trzymać, proszę łaski pana. Tak się ta do mnie przygarnęło mizeractwo jedno, żeby aby febrę zgubić... A stróż by lepiej patrzał tych chamów z tamtej oficyny, co bez całe dnie i noce obrazę boską robią...

— No, a ja panią przestrzegam, żeby tego nie było. Albo dziewczynę meldować, albo niech rusza, skąd przyszła. Ja za nią odpowiadać nie chcę. Rozumie pani?

Walentowa pocałowała go w rękę.

— Iii... co ta, proszę łaski pana! Kto tam potrzebuje zara o tym wiedzieć. Niech ta jeszcze z jaki tydzień posiedzi, co aby zimno zgubi. A dyć tu ona nijakiego placu nikomu nie zastępuje...

Zniecierpliwiony rządca językiem o podniebienie klasnął.

— Ale co to za głupie gadanie! Przecie ja za to jestem odpowiedzialny, karę mogę zapłacić, z rządcostwa, do licha, wylecieć. Cóż to, nie wiecie, jakie teraz porządki?

— A dyć wiem, wiem, proszę łaski pana...

— No więc, jak wiecie, to dobrze.

Odwrócił się.

— Franciszek! Meldunek od dziewczyny tej dziś ściągnąć, słyszysz?

— Słyszę, proszę pana.

Pan rządca zapiął palto pod szyją, zapalił cygaro i poszedł. Walentowa chwilę stała w bramie z wyrazem mocnego namysłu w grubej twarzy i małych, siwych oczkach, poczym się zawróciła do stancji. Przez dziwną jednak delikatność serca, właściwą wielu prostym kobietom, choć obcą niejednej damie "z towarzystwa", o spotkaniu swoim z rządcą nie odezwała się do Hanki ani jednym słówkiem, tylko się po izbie pokręciwszy, jakby zapomniała czego, wyjęła z półskrzynka węzełek z pieniędzmi, nie będąc widać zbyt pewną owych kawalerów z przeciwka i jedną jeszcze chustką obwiązawszy głowę, na miasto poszła.

Hanka tymczasem nagotowała obiad i, przykrywszy garnuszki, u komina siadła, patrząc na czerwone węgle i modre płomyki. Siedziała, kiwała głową, medytując i wzdychając ciężko. Od owego pojawienia się stróża była ona jak trawa, po której wichry idą. Ani dla niej snu w nocy, ani spokoju we dnie. Po kątach tylko ogląda, a patrzy, a nasłuchuje, z której strony złe na nią przyjdzie... A serce się w niej trzęsie, jako ten liść osikowy na podzimie. O Jezu, Jezu! I coby to komu szkodziło, żeby o niej ludzie zapomnieli, żeby już tu tak zostać mogła do jakiego końca...

Obejrzała się po izbie.

— A toć jej tu tak jest, jakby do rodzonej matki trafiła. A toćby ona wstając, kładąc się, Bogu dziękowała... Prawda, że wielkiego zdrowia Pan Jezus jej nie dał; ale równo, wezwawszy Boga na pomoc, dzień albo i dwa przy balji przestoi... Oj prałaby, prała z Walentową, inoby się migoty robiły... Oj, poco to ludzie wymyślili te meldunki, po co!...

Kiwała jeszcze głową, ale już myśleć przestała. Duszę jej tylko zalała wielka gorycz, której smak czuła niemal w kurczowo zaciśniętych ustach. Niedawno jeszcze bała się ludzi, teraz zaczynała ich nienawidzić. Węgle na kominie wygasły, w izbie zrobiło się ciemno.

Jakiego rodzaju były zabiegi Walentowej podczas kilkugodzinnej wyprawy na miasto, nikt nie wiedział o tym; ale powróciła z niej rzeźka, wesoła, odmłodzona jakby.

— Słuchaj, Hanuś — szepnęła od proga zrywającej się ku sobie dziewczynie. — Chustkę moją bierz i chodźma...

Hanka stanęła wpośrodku izby, niepewna i zadziwiona.

— Dalej, dalej... — nagliła praczka — nie marudź, bierz chustkę, póki cię ten zapowietrzony kożuch nie zmiarkuje...

Epitet ten stosowała pani Walentowa do stróża, z którym w ciągłej była kolizji z powodu mydlin, wylewanych, jak utrzymywał Franciszek, "na samym trakcie".

Zakręciła się dziewczyna, ręce jej się trzęsły, nogi plątały, o mało się nie przewróciła przez burego kota. Znalazła wreszcie po omacku chustkę, zarzuciła ją na głowę i wyszły, ostrożnie przywierając za sobą drzwi skrzypiące.

Szły spiesznie i cicho. Hanka zatrwożona w so-

bie, Walentowa sapiąca z ukontentowania, ale także czegoś wzruszona.

— To jakże będzie, ciotuchno? — zagadnęła dziewczyna, kiedy się już znacznie oddaliły od domu.

— Jak ma być? Dobrze będzie. Pan Jezus miłosierny dopomógł i tyla. Nie mój w tym rozum i nie moja wola, ino ludzki rozum i boska wola. A ty się nic nie frasuj, nic sobie do głowy nie dopuszczaj, ino się do roboty bierz...

— A gdzie mnie też dajecie, moi złoci?... — nalegała Hanka.

— Gdzież cię to mam dawać? Do ludzi cię daję. Znalazłam ci taką służbę, że to ha! Te dwa kawaliry z przeciwka, co to do nich chodziłam po pieniądze, to ci się jeden ożenił i aże na drugi koniec miasta wyciągnął, co mu rządcostwo dali za mieszkanie. Tak idę ja do niego i mówię tak i tak, co tu dziewczyna jedna jest, ino że jej stary paśport wyszedł, a nowego jeszcze nie doslali...

— O Jezu!... — przerwała Hanka wystraszonym głosem

— Ino cichoj, cichoj! — ofuknęła ją ostro Walentowa. — Nie mój w tym rozum, ani twój ino mądrzejszej głowy dorada... A Pan Jezus miłosierny grzesznemu człeku odpuści, choć się ta co i nie tak akuratnie powie... Ino, że trza będzie we gminie pisarza ujednać...

Hanka zamilkła. Nie o grzech jej szło, ale się bała, żeby ją ten wykręt w gorszą jeszcze matnię nie wpędził. Spuściła głowę i posępnie się obok praczki wlokła.

— Jak ja jemu to powiadam, tak on do mnie: Z nieba-ście, moja kobieto! Żeby tak co porządnego, toby my zaraz sami ją wzili, bo nas ta baba pijaczka, co tu na obsługę dochodzi do cna zmarnuje...

— Tak ja go w rękę. Czemu nie, proszę łaski pana. Dziewczyna jest, co się nazywa. Tak on znowu: Bo widzicie, moja kobietko, ja tu meldunki w kamienicy trzymam, toby się to jakoś jedno z drugim tymczasowo połatało. Tak ja go znów w rękę... Co prawda, to mi już więcej jak pół roku za dwa ręczniki i pięć kołnierzyków od prania winien. Ale myślę sobie: Zarówno tam! Nie będę mu się upominała. Abo to tam człowiek ma tę parę groszy, abo nie ma...

Machnęła ręką i zamilkła.

Tegoż dnia jeszcze odbyła się instalacja Hanki na nową służbę. Dziewczyna szła do niej, jakby na stracenie, tak się już bała tych ciągłych odmian, z których każda przynosiła jej nową biedę. Walentowa fukała na nią zrazu, ale kiedy przyszło do rozstania, jej samej po czerwonych, gąbczastych policzkach puściły się łzy drobne, jasne, szybkie...

Młodzi państwo zachwyceni byli swoją nową służącą. Wogóle zachwycali się oni jeszcze wszystkim, a najbardziej sobą. Pierwsza to była prawdziwa sługa na ich własnym gospodarstwie; zdawało im się też, że sami przez nią nabierają powagi, znaczenia. Szczególniej pochlebiało to pani, która, skazana dawniej na przymusowe milczenie w towarzystwach damskich, teraz razem z innymi mogła zabierać głos w niewyczerpanej nigdy kwestji sług złych i dobrych. Trzeba też było widzieć, z jaką dumą zaczynała dyskurs od słów: Moja służąca... lub: moja Hanusia... Była to prawdziwa rozkosz.

W Hance także dusza tajała powoli a chmurne jej oczy zaczynały miewać spojrzenia ciche i słodkie. Walentowa odwiedzała dziewczynę zrazu często bardzo, przynosząc jej to fartuch jaki, to podszarzaną spódnicę, to poduszczynę, to kołdrę wyłataną przez siebie; potym przychodziła rzadziej, bo nogi

jej puchły i daleko puszczać się nie mogła. Nie było przecież niedzieli, żeby się, choć stękająca, nie przywlokła obaczyć, czy jej Hanusia krzywdy jakiej nie ma.

Upłynął tak miesiąc i drugi miał się ku schyłkowi, kiedy Blacharzówna, wybrawszy się w dzień targowy z koszem na Ordynackie, nagle zobaczyła kręcącą się po rynku Walerę. Walera wyglądała wspaniale. Miała na sobie piękne syberynowe okrycie i żółtą włóczkową chustkę na głowie; nie zdawało się też, żeby tu przyszła po jakie sprawunki, gdyż nie niosła ze sobą koszyka, a obie ręce trzymała w futrzanej mufce.

Odwróciła Hanka corychlej oczy i zeszła parę kroków z drogi; zdało jej się przecież, że i Walera zobaczyła ją i także się na stronę cofnęła. Po niedługiej chwili dziewczyna znów spojrzała. Obok Walery kręcił się teraz wysoki i chudy mężczyzna; szeptali coś ze sobą, a Walera wzrokiem pokazywała ją towarzyszowi.

Zatrwożyła się Blacharzówna i między ludzi w największy tłok się rzuciła; ale chudy jegomość widocznie ją miał na oku i wkrótce go naprzeciw siebie ujrzała, tym razem samego.

Skręciła wtedy nagle na prawo, coraz większą uczuwając trwogę; on jednak i tu zaszedł jej z przeciwnej strony i otarł się niemal o nią, przechodząc niby obojętnie, a w twarz jej patrząc bystro, przenikliwie. Wtedy Hanka, nie załatwiwszy nawet połowy sprawunków, ku domowi się w najwyższym przerażeniu puściła; chudy jegomość jak cień postępował za nią, trzymając się wszakże w pewnej odległości. Dopiero kiedy już dopadła bramy, zrobił kilka wielkich kroków i położywszy rękę na koszyku, który niosła, rzekł zcicha:

— Dasz panna rubla, to dobrze. A nie dasz, to drugie dobrze. Pójdziem do ratusza.

Zatrzęsło się serce w dziewczynie. Wiedziała teraz, że to "łapacz". Obróciła ku niemu twarz nagle zczerniałą, oczy jej zapłonęły posępnym błyskiem, otwarła usta, po których przelatywało jakieś kurczowe drżenie. Nic wszakże nie rzekła, tylko popatrzywszy w ziemię, jakby nieprzytomna, sięgnęła do pańskich pieniędzy, wyjęła z nich rubla i dała.

Łapacz papierek wziął, obejrzał, do brudnego mieszka schował, spojrzał na numer domu, rozejrzał się po bramie, kiwnął głową i rzekł:

— Za tydzień przyjdę. Do widzenia z panną.

Dziewczyna ciężkim krokiem powlokła się na górę.

Dnia tego młoda pani była cokolwiek zdziwioną nieuwagą i pomieszaniem swojej służącej. W mieście mnóstwa rzeczy zapomniała kupić, a w domu wszystko jej z rąk leciało, jak to mówią. Zdziwienie to wzrosło jeszcze, kiedy z obrachunku pokazało się, że Hanka ze zmienionych pięciu rubli bez opowiedzenia się wzięła rubla na jakiś własny sprawunek, o który wszakże zapytana, nic nie odpowiadała. Uwag swoich w tym względzie udzieliła młoda pani przy obiedzie "najdroższemu Lutkowi"; ale ponieważ najdroższy Lutek do biura się spieszył, jedynym przeto wnioskiem, jaki z nich wyciągnął, było to, że ucałował oba rumiane policzki "żonusi" i wyszedł, ani o rubla, ani o pomieszanie służącej nie kłopocząc się w należytej mierze.

Skończywszy w domu robotę, pobiegła Hanka do Walentowej.

Jaka tam była pomiędzy nimi rozmowa, nie podejmuję się powtarzać. To pewna, że w niej więcej łez niżeli słów było. Upływały godziny, stara praczka płakała, przeklinając zcicha dla ulżenia sobie;

Hanka, jak padła na stołek, tak siedziała na nim, w chudych rękach trzymając zwieszoną głowę.

— Choćby gdzie uciekać... — szepnęła Walentowa. Mówiła cicho, jakby się bała obudzić większe jeszcze nieszczęście.

— Gdzie? Do kogo? — odrzekła, nie podnosząc głowy, Hanka. — Zostanę w mieście, to mnie o meldunek ścigać będą... Pójdę w świat, to mnie, jak tego psa zapomniałego, ułapią... Albo to nademną prawo jakie, albo co?

Myliła się dziewczyna. Było nad nią prawo. Prawo mocne, twarde, bezwzględne, którego każda litera była powrozem na jej ręce, łańcuchem na jej nogi, biczem na jej plecy, głodem dla jej ciała, przepaścią dla jej duszy. Było nad nią... prawo pobytu.

Pod tym to prawem łamała się dziewczyna, sprawy sobie nie zdając z całego szeregu następstw jego, które ją fatalnie coraz ciaśniejszym obejmowały kołem. Pod tym prawem wyczerpywały się jej siły, obumierała wola ku dobremu, budziła nienawiść, serce zachodziło goryczą. Nie wiedziała o tym, bo prawo było wysoko, a ona nisko; prawo nazywało się sprawiedliwością, a ona przestępczynią; prawo było jasne, potężne, szanowne, a ona ciemna, słaba ciemna i wzgardzona.

Myliła się więc. Było prawo. Ale w prawie tym leżała jej krzywda.

Tegoż dnia jeszcze objawiła "żonusia" "najdroższemu Lutkowi", który już usypiał, że jedenasta dochodzi, a Hanki jeszcze niema. Na co "najdroższy Lutek" zaproponował "żonusi", aby zgasiła lampę, bo mu w oczy świeci. Młodą panią to oburzyło. Dwie jasne łezki gniewu, jak iskry, zabłysły w jej oczach i bardzo stanowczym głosem powiedziała mu, że on, jako mężczyzna, może być niemoralny, wszyscy bowiem mężczyźni są, jak wiadomo, niemoralni. Ale ona

inaczej była wychowana i nie pozwoli nigdy, to jest nie spodziewała się nigdy, aby... żeby...

Lecz tu "najdroższy Lutek" przykrył głowę kołdrą, a "żonusia" rozpłakała się z oburzenia nad jego zatwardziałością.

Nazajutrz Hanka krzątała się cicha i uspokojona jakby, tylko jej ruchy były powolniejsze, a w głęboko podkrążonych oczach paliły się jakieś gorączkowe blaski.

Przeszedł tydzień. Jak i kiedy — dziewczyna nie wiedziała sama. Każda godzina w dniu taka ciężka jej była, jako kamień młyński; a przecież tyle ich przeleciało nad nią, jak te kruki czarne...

...Oj dolo, dolo... Na czarnych ty skrzydłach, na czarnych piórach nad ziemią się nosisz... A nie jesteś ty, dolo, jako ten gołąb biały, ale jesteś jako ten kruk kraczący...

Był dzień piątkowy. Hanka od rana zawiązała w gałganek przyniesionego od Walentowej rubla, w kieszeń go włożyła i czekała.

Ani na rynku wszakże, ani na drodze do domu nie spotkała nikogo. Wybiegła raz przed bramę, wybiegła drugi raz — nikogo. Przeszło południe, niepokój jej wzrósł. Może się łapacz rozmyślił... może dał znać do ratusza... W męce przeżyła ten dzień i dopiero późnym wieczorem, wybiegając po wodę, spotkała go w bramie.

Stał i brudną kraciastą chustką ocierał pot z czoła.

— Ale też panna służbę sobie wybrała, niech pannę Bóg kocha! Taż to mila drogi do panny. Czyste przedpiekle...

Nie odpowiedziała, tylko sięgnąwszy do kieszeni, rozwinęła rubla i obejrzawszy się, szybko mu go podała.

Łapacz się skrzywił.

— Cóż to panna myśli, że ja po głupiego rubla będę tutaj chodził? Daj panna chociaż z dziesięć złotych...

Spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem. Nie spodziewała się, że może zażądać więcej. Nie miała zresztą...

Odważyła się przemówić, a głos jej wydał się jej samej jakiś obcy, jakby nie z własnej piersi idący.

— Miejcie sumienie... I to nie moje. Skąd ja...

Nie dał jej dokończyć.

— A co mnie do tego? Mnie tam wszystko jedno!

— Zaraz... Niech ino pan tak nie krzyczy... Pójdę do pani...

Udobruchał się w jednej chwili.

— No, to ja zaczekam w bramie.

Pobiegła na górę. Pani przeraziła się jej bladością.

— Co ci się stało? Co to? z czego?...

— Nic, proszę pani. Nic. Chciałam tylko prosić o pół rubla...

Pani nie było to na rękę. Miesiąc się skończył, wydatki były obliczone ściśle, zasługi miały być Hance wypłacone dopiero po pierwszym. Próbowała tedy paktować.

— Na cóż ci to tak pilno pieniądze potrzebne? Wieczór już... nic przecież kupować nie będziesz...

Dziewczyna nie ustępowała, nie mogła ustąpić. Dostała wreszcie garstkę miedziaków i zaniosła je łapaczowi.

Przeliczył, wsypał do kieszeni zielonkowatego paltota i kiwnąwszy głową, rzekł z odcieniem życzliwości w głosie:

— Bądź panna zdrowa. Jak będę miał czas, to zajrzę.

Mówił to tak dobrodusznie, jakby był najszczerzej zapraszanym gościem.

Po Hance przeszedł płomień nienawiści.

...Jak będzie miał czas! Bodajżeś go nigdy nie miał, przeklętniku! Bodajże ci brakło czasu na skonanie... na wezwanie imienia boskiego w śmiertelnej godzinie!...

Zacisnęła splecione ręce, aż jej w stawach trzasło.

Łapacz tymczasem szedł sobie zwolna ulicą, rozglądając się obojętnie dokoła. Można go było wziąć za podupadłego oficjalistę jakiegoś prywatnego biura. Rozmowa wszakże Hanki z obcym mężczyzną w bramie wieczorem zwróciła w kamienicy uwagę.

— Cóż to sobie panna za kawalera wybrała? — zapytała przechodząca stróżka. — Co prawda, to mogła też sobie panna święcie inszego poszukać. A toć to jest dziad przeciw panny.. Co to? tutejszy? Wdowiec? Profesjant?

— Hi... hi... hi!... Ja bym za takiego za żadne pieniądze nie chciała... — śmiała się młodsza z pierwszego piętra. — Żeby on mnie tam i miodem smarował... Dziadzisko takie!...

Hanka nie odpowiedziała na te zaczepki. Stała w miejscu, jakby ścierpnięta, nie widząc, nie słysząc, co się koło niej dzieje. Aż wyszedł z jej piersi jęk przeciągły, jedyny wyraz, jaki ta wpółuśpiona, sponiewierana dusza umiała znaleźć na swój ból i na swoją krzywdę.

Odtąd było jej jeszcze ciężej żyć w ciągłej niepewności i strachu, nie wiedząc dnia, ani godziny. Nie dosypiała po nocach, nie dojadała we dnie, wszystko jej się obracało w gorycz i w truciznę. Kiedy upłynął tydzień prosiła pani znów o dziesięć złotych. Bała się, aby ją prześladowca nie zaskoczył gdzie na ulicy — chciała mieć pieniądze w pogotowiu. Ale pani się to nie podobało wcale Miała właśnie jakiś sprawunek nadetatowy na myśli i liczyła potroszę na to.

że Hanka po owym półrublu tak prędko nie zażąda pieniędzy.

Powiedziała jej zatym, że z góry zasług dawać nie może, a po obiedzie zawiadomiła ''najdroższego Lutka'', że służąca się zupełnie zepsuła, że ją stróżka widziała, jak w bramie z kawalerem wystaje i że jak tak dalej będzie, to ona... jako pani domu... nie może przecież...

Zachłysnęła się. Niedobrze jeszcze znała rolę swoją. Nie wiedziała zresztą napewne, co może, a czego nie może. Arcypoważna jednak minka miała zastąpić resztę niedopowiedzianej myśli. ''Najdroższy Lutek'' wysłuchał z wielką flegmą całej tej oracji, a ponieważ był już po czarnej kawie i po papierosie, zdjął palto z kołka i kładąc je, rzekł:

— To ja, żonusiu, później dziś trochę przyjdę na herbatę, bo mam djablą robotę...

Wyszedł, a ''żonusia'' uczuła, że jest najnieszczęśliwszą w małżeńskim stanie i że teraz dopiero widzi, jacy to są, ci mężczyźni...

Nie mogąc dostać pieniędzy od pani, Hanka raz jeszcze pobiegła do Walentowej. Zastała ją w łóżku, chorą, stękającą, z nogami opuchniętymi jak kłody, bez dozoru, bez wygody, w zimnej, wilgotnej izbie leżącą. Ścisnęło się serce dziewczyny i nie już o pieniądzach nie mówiąc, zakrzątnęła się tylko, żeby izbę ogrzać, strawę zgotować i felczera sprowadzić. Okazało się, że po zapłaceniu felczera parę dziesiątek ledwie zostało w półskrzynku Walentowej. Dziewczyna z tej wyprawy jak błędna wróciła do domu i ledwo podawszy samowar, chwyciła swą marną poduszczynę i do fanciarni zaniosła

W parę dni potym, a było to zrana, skrzypnęły drzwi od kuchni, a w progu jej stanął łapacz.

Dziewczyna chwyciła się komina i patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem.

— Dzień dobry pannie — przemówił uprzejmie łapacz. — Jak się panna miewa? Byłem wczoraj w bramie, ale mi powiedzieli, co panna gdzieś poszła. Tak dziś przyszedłem zobaczyć. Człowiekowi pieniędzy potrzeba... A cóż to tak goło jakoś koło panny? Ani pościeli, ani kufra!... Moja panno! to tu widzę u panny nietęga obrada...

Truchlejąc, żeby państwo nie posłyszeli obcego głosu w kuchni, sięgnęła dziewczyna pod siennik i podała przybyłemu przyniesione od fanciarki pieniądze.

Wziął, przeliczył i ramionami z politowaniem wzruszył.

— Półszosta złotego?... Phii... I to już wszystko?

— Jedyną poduszkę zastawiłam... — szepnęła dziewczyna głuchym, zdławionym głosem.

Popatrzał na nią.

— No, kiedy tak, to niema nam się co ze sobą bawić, moja panno. Bądź panna tymczasem zdrowa.

Odszedł. Hanka runęła przy drzwiach, wybuchając gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

W godzinę potym zabrano ją do ratusza, a młoda jej pani przez cały następny tydzień prym trzymała na wszystkich damskich posiedzeniach; żadna bowiem z jej znajomych nie miała do opowiedzenia o służącej swojej takiego jak ona "skandalu".

VI.

W chwili, kiedy łapacz prowadzący Hankę ukazał się w trzecim podwórzu ratuszowego gmachu, szereg zakratowanych, czerniejących tu i ówdzie powybijanymi szybami okien w tej jego części, która zamyka perspektywę od strony ulicy Daniłowiczowskiej, zapełniony był męskimi i kobiecymi głowami.

Nie stanowiły wyjątku pod tym względem nawet tak zwane "obywatelskie" numery, w których odsiadują areszt policyjny osoby, korzystające z przywilejów stanu.

Przedmiotem ciekawości całej tej galerji był brudny, zabłocony, chudy pudel, którego strażnik uczył aportować i służyć. Ilekroć pies przybierał postawę pionową, u góry robiła się cisza, przerywana zaledwie pojedyńczymi wykrzykami: "ustoi!... nie ustoi!" Kiedy wszakże znużony psina opuścił przed czasem mdlejące łapy, a ciężkie razy grubego rzemienia na drżący grzbiet mu spadały, galerja wybuchała szalonym śmiechem i tupaniem, które, w połączeniu z żałośnym skowytem pudla, tworzyły prawdziwie piekielną wrzawę.

Pojawienie się w podwórzu łapacza z dziewczyną zrobiło w tym widowisku powszechną dywersję. Strażnik kopnął psa, który w koziołkach przeleciał pod drugą oficynę, skomląc przeraźliwie, a grube i piskliwe głosy zwróciły się do przybyłego.

— Ojczulek! ojczulek! Jak się ojczulek miewa?

— Dzień dobry ojczulkowi! Dzień dobry! Dzień dobry!

Łapaczowi pochlebiała widocznie ta popularność. Podniósł głowę, zmrużył lewe oko i pogroziwszy ku oknu długim, chudym palcem, pokazał w uśmiechu kilka wielkich, żółtych zębów, sterczących pod opustoszałymi w większej połowie dziąsłami.

Wrzawa jeszcze się wzmogła.

— Co to? Ojczulek z polowania? Jakże się udało?... Zwierzynka jest? — krzyczeli jedni.

— Panno! panno! spuśćno panna chustkę! — wrzeszczeli drudzy.

— Do nas ją tu! Do nas!

— Dawaj ją, ojciec!

— Ciszej, zbóje! — krzyczały kobiety, wysuwa-

jąc pięście i głowy przez potłuczone szyby w stronę męskiego oddziału.

— Wy same, baby, ciszej!... — odpowiadali mężczyźni.

— Hej, ty tam, niuńka!... nie słyszysz, że się do ciebie gada?

— W kark ją, ojczulku, dobrze!...

Hanka szła wyprostowana, krokiem równym, przyspieszonym z jakąś ponurą determinacją w ruchach. Mocno ściągnięte brwi nadawały jej twarzy wyraz groźnej boleści. Wąskie usta lekko drżały, a nieruchomo utkwione w przestrzeni oczy zdawały się patrzeć w otchłań krzywdy i klęski. Przeszła tak podwórze bramę, schody i dopiero kiedy ją w końcu długiego korytarza "pod numer" wpuszczono, oparła się plecami o ścianę, jakby upaść miała, przygarbiła się, opuściła ręce, a oczy jej chodziły jak błędne po wielkiej, brudnej izbie, w której, stosownie do litery prawa, miała odsiedzieć dwa tygodnie aresztu za swoją ucieczkę z pobytu. Izba ta nie było to właściwie więzienie, ale ohydny etap, przez który przepływały coraz to nowe fale nędzy, znikczemnienia i hańby, zostawiając tu swe ponure ślady. Kilkanaście brudnych, zbitych z desek tapczanów stanowiło sprzęt jej jedyny. Na tapczanach chrapało parę pijanych kobiet, kilka innych tłoczyło się do drzwi dla zobaczenia i wypytania przybyłej.

Rozczarowały się prędko. Było to jakieś "głupie dziewczysko", z którym się dogadać nie było można.

W południe przyniesiono szaflik kaszy, przy którym powstała gwałtowna kłótnia o skwarki ze starego sadła. Hanka w tym pierwszym obiedzie nie brała udziału. Nikt jej nie wołał, łyżki dla niej nie dano. Przyszła późno, kasza nie była na nią "rozrachowana", jak utrzymywały dawniejsze lokatorki izby.

Dziewczyna nie czuła głodu, nie dopominała się też o nic, a zwinąwszy się w kłębek, na ziemi w kącie siadła, głęboko na twarz zapuściwszy chustkę Walentowej.

Zmierzch zapadał szybko. Przyszła noc, a przy migocącym świetle zapalonej nade drzwiami latarni można było widzieć rojące się po ścianach robactwo. Nowa kłótnia, którą aż strażnik uciszać musiał, powstała przy zajmowaniu tapczanów. Baby do oczu sobie niemal skakały, nie mogąc się pogodzić o miejsca; potym, zmuszone interwencją strażnika, pokładły się, klnąc i lamentując; a kiedy odszedł, długo jeszcze warczały jedna na drugą, aż je nareszcie sen zmożył. Hanka też skulona w kącie na ziemi zasnęła.

Wkrótce przecież po północy zbudził ją hałas w korytarzu. Zgrzytnęły zasuwy u drzwi, a pod numer wpuszczono śmiejącą się i ujadającą ze strażnikami dziewczynę Hanka poznała ją natychmiast. Była to Mańka Czerkas. Wyglądała tak, jakby ją prosto z jakiejś ulicznej bachanalji chwycono. Różowa, szeroko z boku rozerwana suknia, zmięta papierowa róża we włosach, zaognione policzki, błyszczące oczy, lekka chusteczka na wpółodkrytych piersiach. Widocznie była nietrzeźwa. Wepchnięta do izby, jak kleszczami trzymała się rękawa strażnika, którj ją prowadził i puścić go od siebie nie chciała.

— Hu... u... u!... Jak tu zimno! A to psiarnia! Hmm... Jaka to para idzie! A toć ja wam tu zmarznę, do licha!... Panie strażnik, abo pan funduj wódki, abo co... Hu... u... u...

— Poszła! — krzyknął grubym głosem strażnik, szamocząc się z dziewczyną. Nie mógł sobie wszakże dać rady.

— Jak nie, to z panem strażnikiem wywinę jednego...

Zaczęła się śmiać szalenie i ciągnąć go w kółko za sobą.

— Hu! ha!... — przyśpiewywała sobie, tupiąc drobnymi stopami.

— Puskaj, ty!... — wrzasnął strażnik w ostatniej pasji.

— Co tam, puskaj... Abo to nie zapust? Tylko że mi jakoś nogi chodzić nie chcą. Musiały mi te bestje zadać co w gorzałce... No, panie strażnik! Dalej go!... na lewo...

Zatoczyła się i zawadziwszy o tapczan, padła na ziemię. Padłszy, śmiała się jeszcze, ale się nie podnosiła.

— Ojej, jak mi się też w głowie kręci! ojej!...

Strażnik splunął i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Nad ranem nowe wrzaski. Przypędzono całą gromadę kobiet, zebranych po zaułkach i złodziejskich norach.

Była to żywa hańba i nędza. Wychudzone, brudne, obdarte, po większej części młode jeszcze, jedne obrzękłe, inne naznaczone sińcami na twarzy, nosiły w całej swej postaci znamię ostatniego upodlenia.

Dwie z nich miały dzieci przy piersi. Niektóre rzuciły się zaraz na tapczany, chcąc sobie zdobyć miejsce, ale zbudzone baby z wrzaskiem i klątwami broniły im przystępu. Inne padły na ziemię, w ostatecznym, jak się zdawało, znużeniu. Ucisżyło się wreszcie. I dziw, wpośród tej ciszy tu i ówdzie dało się słyszeć westchnienie, zmieszane ze słowami pacierza...

Dwa tygodnie, jakie Hanka spędziła w ratuszu, zostawiły głębokie ślady w całej jej istocie. Dusza jej zwiędła, zestarzała się jakby. Instynkt nienawiści dojrzewał w powietrzu tej wielkiej, brudnej izby, rozprzestrzeniał się, ogarniał ją całą i pełzał

po sercu jej tak, jak to robactwo pełzało po ścianach. Kiedy kto przemówił do niej — ściskała zęby, żeby nie kląć; krzywda jej leżała na jej piersiach dzień i noc, jak wielki ciężki kamień.

Po dwuch tygodniach zaprowadzono ją razem z Mańką do kancelarji w więziennym gmachu, w którym odsiadywała swój wyrok. Miano je wysłać w pobyt z całą partją. W kancelarji stała już u drzwi gromadka kobiet, oczekująca na wejście "wielmożnego". Wielmożny spóźnił się dzisiaj. Miał u siebie wczoraj partyjkę winta, karta mu nie szła, wstał późno, kwaśny był i niewyraźny jakiś.

Kiedy wszedł, jedna z kobiet, Michalakowa, u nóg mu runęła z przeraźliwym krzykiem:

— A mój ojcze! A mój dobrodzieju! A mój przewielmożny panie! A nie dajże mnie od dzieci ginąć! A ulitujże się nademną sierotą! A toć-em wysiedziała, com miała wysiedzieć... A toć się na mnie nic nie okazało... A teraz mnie znowu mają gnać... A nieszczęśliważ ja sierota! O Jezu... Jezu!... Chłopisko mi się rozpiło, dzieciska mi się po ludziach poniewierają, jak te szczeniaki... A kiedyż ja je wyhoduję? A kiedyż ja im matką będę?... O Jezu! Jezu!...

Nie leżało to w zwyczajach pana radcy pozwalać na tak długie perory. Wzruszenie psuło mu apetyt. Ale przed gwałtem tej żałości oniemiał narazie i zaczął się cofać ku stołowi.

Kobieta wszakże nóg jego nie puszczała, wlokąc się za nim z swoim strasznym jękiem. U drzwi słychać było chlipanie stojącej gromadki.

— Upamiętajże się, moja kochana! — przemówił wreszcie wielmożny. — Co wyrabiasz? Naco ci się te krzyki i lamenty zdały? Choćbyś lamentowała, nadlamentowała, to ja ci nic nie poradzę. W wyroku stoi pobyt, jak wół i musi być pobyt. To już

tam święty Boże nie pomoże... Czemużeś nie apelowała, kiedy był czas na to? Czemużeś się nie ratowała?

Pan radca dobrze wiedział, że Michalakowa cały ten czas właśnie przeleżała w tyfusie; ale weszło mu to w zwyczaj w razie czego mówić: czemużeś nie apelował?—czemużeś nie apelowała i teraz powtarzał to machinalnie prawie, dla ulżenia sobie.

Kobieta wybuchnęła nowym płaczem.

— Jakżem się miała ratować, wielmożny panie, jakżem się miała ratować, uboga sierota, kiedym sama nie wiedziała o sobie, ani o bożym świecie w onej chorobie... A! nieszczęśliwa moja głowa, nieszczęśliwa godzina!... Oj, moje dzieci, moje dzieci, moje sieroty!... A czegóż ja doczekałam takiej ciężkości... a czegożem ja dożyła! A dyć mi wszystko zmarnieje! A dyć mi już ni do czego będzie się powracać... O Jezu! Jezu!...

Pan radca podniósł ramiona i rozkrzyżował ręce. Był to giest wymowny, jako on nic na to wszystko poradzić nie może. Położenie jego było rzeczywiście nie do zazdrości. Kobieta ściskała mu konwulsyjnie nogi, buty jego od jej łez traciły glans ze wszystkim. Cofając się wszakże ciągle potrochu, dosięgnął wreszcie ręką stołu, oparł się na nim silnie i rzekł twardszym jakimś głosem:

— No, moja kochana, skończ już te lamenty. Co w wyroku stoi, tego językiem nie zliże. Stoi pobyt i musi być pobyt. To już jak amen w pacierzu. Takie prawo.

Gdy zaczął mówić, Michalakowa podniosła się w połowie ciała i przysiadła na ziemi, patrząc mu w oczy przenikliwie. Spodziewała się jeszcze czegoś, chwytała ostatnią nadzieję. Gdy skończył, wyrzuciła załamane ręce nad głowę i przechyliwszy się wtył, buchnęła ogromnym łkaniem.

— A bodaj takie prawo!... A bodaj taką krzywdę!... Tylo lat!... Tylo czasu!... O Jezu najsłodszy, Jezu!...

I zaniosła się nieludzkim rykiem, uderzywszy czołem w podłogę. Pan radca zniecierpliwił się nadobre Znał to do siebie, że serce miał miękkie, ale ta scena trwała już zbyt długo.

— Gadajże z głupią! — zawołał porywczo. — Ja swoje, a ona swoje. Cóż to, na Sybir cię pędzą, czy co? Pójdziesz, to i wrócisz... Straszna historja! Dzieciaków djabli nie wezmą, kiedy ich dotąd nie wzięli.

Spróbował się ruszyć, ale kobieta już znów obejmowała nogi jego jakby kleszczami.

— Jakób! — krzyknął tedy zirytowanym głosem. — Zabrać babę! Niech mi tu nie wyprawia hałasów! — A kiedy strażnik się ruszył: — Tak to z nimi — dodał. — Ludzkim bądź, gadaj jak do człowieka, a ta swoje i swoje. Czyste bydło!

Pan radca o ludzkości swojej lubił wspominać często Roztkliwiało go to, napełniało jego piersi jakimś błogim ciepłem. Pełniąc swój znojny urząd, czuł on niekiedy coś, jakby lekkie łechtanie pod lewym żebrem, coś, co skrupulat jakiś gotówby nazwać wyrzutem sumienia. Natychmias wszakże przypominał sobie, że jest ludzkim, bardzo ludzkim, i to go uspokajało zupełnie. I teraz spróbował tego środka, ale łechtanie było uparte jakieś

Tymczasem strażnik chwycił Michalakową za ramię i chciał ją podnieść; ale kobieta leżała jak kłoda, piersią na ziemi i przylgnęła do niej, rozkrzyżowawszy daleko przed sobą zwiędłe, wychudłe ręce. Wyciągnął ją tedy tak, jak leżała, pomagając sobie olbrzymim swoim butem. Podczas wyciągania tego głowa kobiety uniosła się i opadła kilka razy z głu-

chym łoskotem, któremu towarzyszył jęk coraz cichszy.

Stojąca u drzwi Hanka zaczęła drżeć na całym ciele.

Po raz pierwszy objawiło jej się prawo w swej ponurej grozie.

Dotychczas nie umiała go ona odróżnić od ludzi. Trzy lata siedziała w więzieniu, bo sąd tak zapisał; w pobyt szła, bo wielmożny bieżeć kazał; w ratuszu dwa tygodnie ją trzymali, bo łapacz oddał; w kozie była, bo ją pan sekretarz wsadził. Zdawało jej się owszem, że cała jej bieda i krzywda stąd idzie, że "prawa nad nią nie było".

Teraz słyszy, że prawo jest, i że sam wielmożny nic przeciw niemu nie poradzi. Usiłuje myśleć i zaczyna rozumieć, że kiedy ono Michalakowej do dzieci nie puszcza, a ją samą pędzi tam, gdzie ani służby, ani chleba dla niej, ani nijakiej opieki, jeno głód i poniewierka krwawa, to już musi być twarde i "zakamieniałe".

I w tępym tym umyśle powstaje niewyraźne pojęcie jakiejś ślepej, groźnej i nieujednanej mocy, która ludzkie karki gnie aż do ziemi, do czarnej mogiły, a ludzką dolą jako wicher trzęsie, a kim trzęsie, to go tak połamie, jako burza łamie sosny w lesie...

Uczuwa przestrach i instynktową potrzebę bronienia się przed tym prawem. Z tą ponurą, zbladłą twarzą i szeroko otwartymi oczyma stoi w progu, wpatrzona w wielki stół, na którym leżą wielkie książki.

W tej chwili pan radca spostrzegł ją i przywołał łaskawie.

— Blacharzówna! A ty co tu robisz? Toś ty z pobytu uciekła?

Zatrwożyła się i spuściwszy głowę, milczała.

— A! wiesz, żem się tego po tobie nigdy nie spodziewał!

Pan radca miał wymowę łatwą, niekiedy nawet kwiecistą, a moralizować lubił niezmiernie. Wytwarzało to, podług niego, pewną etyczną atmosferę w instytucji powierzonej pieczy jego, która to atmosfera jeżeli szwankowała czasem, to przynajmniej nie z braku rad i ojcowskich uwag pana radcy. Teraz wprawdzie był zirytowany "tą głupią babą", no i partję trzeba było wyprawić, nie mógł wszakże odmówić sobie przyjemności maleńkiego przemówienia do tych "istot straconych".

— Jakto — ciągnął więc dalej — ja ciebie zawsze miałem za porządną aresztantkę, za przykład cię stawiałem innym, a ty tak sobie postąpiłaś? To tobie milsza włóczęga, niż praca, niż życie uczciwe i spokój? Posłałem cię, jak co dobrego, samą, a ty mi taki wstyd zrobiłaś przed ludźmi? No widzisz! sama powiedz, coś ty warta?...

Hanka milczała.

— Taka młoda, taka przystojna dziewczyna! — mówił po pauzie pan radca, kiwając głową. — Toż ty mogłaś los jeszcze zrobić! Nie było ci to do służby iść, uczciwej pracy się chwycić, z porządnymi ludźmi po ludzku żyć, po chrześcijańsku, po bożemu...

Tu brakło panu radcy dalszych omówień i zamilkł na chwilę. Czuł wszakże, że, ze stanowiska swego wychodząc, powinien jeszcze parę uwag dodać.

— Prawo — rzekł więc — moja kochana, nikogo nie potępia. Ono chce poprawy, nie zguby winowajcy. Ono cię umyślnie odrywa od wszystkich dawnych pokus i okazji, daje ci sposobność rozpoczęcia nowego życia, otacza się dobroczynną opieką, ułatwia ci odrodzenie moralne. Tak tu, jak tam, wi-

działaś zawsze ludzi, którzy choć surowo, ale po ojcowsku obchodzili się z tobą... Czy nie tak?

Hanka milczała.

— Puszczona byłaś na swobodę, mogłaś robić wszystko, co ci się podoba, byle uczciwie, mogłaś, żyjąc skromnie i mając w służbie wszystkie potrzeby zaspokojone, odłożyć coś, zebrać sobie, zamąż wyjść. Te trzy lata pobytu, to prawdziwe błogosławieństwo boskie dla ciebie. A ty wolałaś uciec, wolałaś do szajki złodziejskiej przystać!.. Nie, nie, nigdy się po tobie tego nie spodziewałem!

Hanka zacisnęła usta, a z oczu padały jej łzy ciężkie, wielkie, jasne. Inne kobiety wzdychały, stara Fajerowa ucierała nos hałaśliwie.

Wymowa pana radcy nie była bez skutku Ta prosta, nędzna dziewczyna uczuła taką skruchę, jakby wszystko, co mówił wielmożny, nie było właśnie najpotworniejszą sprzecznością z tym, czego w pobycie doznała. Serce w niej tajało, jakby naprawdę puściła się na co złego z własnego wyboru. Oczarowanie to trwało póty, póki brzmiąca i z łagodną stanowczością wypowiadana przemowa nie dobiegła końca. Gdy dźwięk tych pięknych i pustych słów przycichł, dziewczyna ocknęła się w sobie, zmieszała, a przypomnienie o głodzie i hańbie krwawą chmurą po twarzy jej przeszło.

— A równo ucieknę — pomyślała jeśli mnie on tam...

Nie dokończyła Krwawa chmura podeszła jej aż pod śniade skronie. Podniosła oczy i spojrzawszy na stojący przed panem radcą krucyfiks, rzekła w duszy:

— Tak mi dopomóż Jezu miłosierny i najświętsza męka twoja...

Wysyłanie w pobyt partji zawsze zgromadza garstkę ciekawych przed murami więziennego gma-

chu, którego tajemnice mało komu przeniknąć jest dane. I teraz stała na przeciwległym trotuarze kupka przechodniów: bab, dzieci, wyrostków, mężczyzn, którzy obserwowali tymczasem tłoczące się na schodkach więziennych kobiety. Kobiety te były to: matki, żony i siostry tych, których pędzić miano. Wszystkie one prawie miały zrana tak zwane "widzenie" w izbie, przyległej do kancelarji, gdzie jest jakby rodzaj klatki okratowanej, do której z jednej strony wpuszczają więźnia, a z drugiej odwiedzającego. Dziś wszakże po widzeniu nikt nie odchodził. Tłoczono się i czekano. Czasem wybiegło słowo jakie, częściej westchnienie ciężkie, spojrzenia były niespokojne i zgnębione.

Otworzyły się drzwi, a strażnik przepuszczał partję, licząc głośno. Najpierw szli mężczyźni. Drobni, chuderlawi, pokrzywieni jacyś plecy w pałąk, kolana ku przodowi wygięte i drżące, twarze żółte, jakby nalane, niektóre poczerniałe, jakby dymem zaszłe, oczy błędne lub biegające, głowy pogolone. Jeden zaledwie pomiędzy nimi był roślejszy.

Ruszyły się kobiety ze schodków z jękiem i szlochaniem. W partji także ten i ów ocierał oczy rękawem. Strażnik nagli, zaczęto się żegnać. Pogolone głowy schylały się ku wyschłym rękom starych kobiet, to ku dzieciom, przyniesionym z domu przez matki. Ale dzieci te odwracały się z przestrachem. Zapomniały już tych ojców, bały się.

Za mężczyznami wyszły kobiety. Najwięcej było dziewcząt młodych, dziwnie zwiędłych, z śladami moralnego nieładu na twarzy. Ledwo się ukazały, zaraz na przeciwległym trotuarze dały się słyszeć koncepty i śmiechy; niektóre z dziewcząt odpowiadały na zaczepki także śmiechem. Nie brakło wszakże i starszych aresztantek. Do tych cisnął się kupkami i pojedyńczo różnego wieku drobiazg, to obdarty,

to dosyć schludnie nawet odziany. Za kobietami wyszedł mający prowadzić partję strażnik i zaraz ją zaczął ustawiać do drogi. Trójkami szli, prawie wszyscy nędznie odziani. Dwuch tylko mężczyzn miało kożuchy, a kaftany i chustki kobiet mroźny wiatr przewiewał. Ten i ów się obejrzał, a byli tacy, co podśpiewywali sobie. Najweselej szli ci, których nikt nie odprowadzał, za którymi nikt nie patrzał. Niektórzy wywijali czapkami, wołając: "do widzenia" tym murom, które ich wypuściły. Ruszyli.

Tego dnia był pan radca na proszonym obiedzie, a tłumacząc się z braku humoru swej uroczej sąsiadce, wyznał jej, że wysyłał dziś partję w pobyt i że to go zaalterowało.

— Cóż to jest ten pobyt? — zapytała młoda dama.

— Pobyt, łaskawa pani?... Ależ nic prostszego nad to! Pobyt polega na tym, że przestępcy, po odsiedzeniu wyroku, nie wolno jest przez rok, przez dwa, przez trzy i cztery, to już wyrok określa, znajdować się bliżej Warszawy, jak w promieniu czterdziestu wiorst. W takiej to odległości jest kilka punktów, do których odstawia się więźniów po kilku, po kilkunastu, różnie...

— A to ciekawe...

— Bardzo ciekawe! Wogóle nasza procedura karna jest bardzo ciekawa. Pani nigdy nie czytała naszego kodeksu karnego?

— Nigdy. Skądżeby?...

— Naturalnie! Bardzo to pojmuję.

— A czy tam, proszę pana — odezwała się młoda panna, która, siedząc poza uroczą damą, od chwili już przysłuchiwała się rozmowie — czy tam jest jakaś opieka nad tymi więźniami?

Pan radca przechylił się ku mówiącej uprzejmie.

— To jest niby gdzie, proszę pani?

— No tam, w tym pobycie.

— O, naturalnie! Muszą się meldować w miejscowym magistracie, otrzymują czerwone paszporty i...

— Czerwone ... — zadziwiła się urocza — a to zabawne! Nigdym jeszcze nie widziała czerwonego paszportu!

— I są pod dozorem policji — zakończył pan radca.

— Ale ja nie o tym mówię, proszę pana — przemówiła panna. — Ja chciałam zapytać, czy im tam kto dostarcza pracy... no i wsparcia moralnego do wejścia na uczciwą drogę?

— To jest, żeby tak specjalnie coś w tym guście było, to nie. Puszczają ich na miasto, a kto chce, to sobie roboty szuka.

— Ale tam w mieście wiedzą, że to złodzieje

— Naturalnie! Przecież się ich przez całe miasto prowadzi to raz. A powtóre, kto czerwony paszport pokaże, to już wiadomo, że złodziej.

— Więc któż ich tam do roboty weźmie?

— Owszem. W lecie większa część znajduje robotę w polu.

— Większa część... A w zimie?

— Ha! — pan radca rozkrzyżował dłonie — trafi się, że i w zimie czasem jakaś robota się znajdzie.

— Więc z czegóż oni żyją, kiedy pewnego zarobku niema?

— Kradną, proszę pani! To niepoprawny naród! Prawdziwe szajki złodziejskie tworzą w okolicy i kradną...

— Co za okropne zepsucie... — wtrąciła urocza.

— A inni — kończył pan radca — uciekają napowrót do Warszawy, bo tu niejeden rodzinę ma, warsztat, stosunki...

— I pozwalają im zostać?

— Ale skąd znowu! Cóżby to był za porządek?

— Więc cóż oni robią? — przemówiła panna.

— Kryją się po różnych norach złodziejskich, póki ich znów nie złapią.

— A jak złapią?

— To sadzają ich do kozy, a potym prowadzą napowrót w pobyt.

— To okropne! — rzekła zcicha panna.

— A czy pani myśli, że to złodzieja poprawia? — zapytał pan radca. — Gdzie tam! Ledwo się strażnik odwróci, już znów ucieka.

— A jak go powtórnie złapią?

— To idzie na dwa miesiące do więzienia, a potym znów w pobyt.

— I tak ciągle? A to zabawne! — rozśmiała się urocza.

Panna patrzyła na pana radcę przerazonymi oczyma.

— I tak ciągle? — rzekła.

— O, nie! — odrzekł wesoło pan radca. — Takiego ptaszka...

Nie mógł dokończyć, gdyż gospodarz w tej chwili powstał i wzniósłszy kieliszek wina:

— Zdrowie dam! — zawołał głośno.

Urocza się uśmiechnęła, pan radca się zerwał, zrobił się rumor — i tak rozmowa przerwaną została.

Tymczasem gromadka aresztantów posuwała się naprzód raźno, bo mróz przejmował, a wiatr świszczał w polu, miecąc suchym, drobnym śniegiem Blacharzówna i Mańka Czerkas trzymały się razem. Obie były zsiniałe i drżące a odzienie ich, ra-

zem wzięte, jednej nawet nie zabezpieczyłoby dostatecznie od zimna.

— Hanusia, siostrzyczko — szeptała Mańka. — Nie wytrzymam! Jak mi Bóg miły, nie wytrzymam! Drapnę... Chcesz ze mną?

— Nie chcę — odrzekła posępnie Hanka. — A ty wstydu w oczach nie masz, kiedy cię po takiej poniewierce jeszcze do tej Sodomy ciągnie...

Mańka zaczerwieniła się i wzruszyła chudymi ramionami.

— Co mnie ma ciągnąć? Do jakiej Sodomy? Jak Bozię kocham, tak ja wcale nie do Bamblowej! A cóż to mnie Bamblowa? matka, czy co?

Szły chwilę w milczeniu. Mańka znów szeptać zaczęła.

— Ja tam, widzisz, w ratuszu poznałam się z jedną, co ci bez meldunku więcej niż pół roku przesiedziała spokojnie...

Hance błysnęły oczy.

— I gdzie ona przesiedziała?

— U jednej tam, na Zakroczymskiej, wprost koszar, u jakiejś Pajęczakowej... Wdowa podobno, czy kto ją tam wie, ale że bardzo porządna kobieta. Handluje, sklepik jakiś trzyma i dzieciaków tam u niej różnych, bo swoich niema, pełno.

— I ona tam u niej siedziała?

— A siedziała! Więcej jak pół roku siedziała I nijakiej tam nie było Sodomy... tylko ją na robotę baba posyłała...

Zmierzchało. Strażnik popędzał, mieli jeszcze z pół mili do wsi, gdzie była kancelarja gminy. Tam miał zdać partję, pilno mu więc było. Śnieg jakoś ustał, wiatr się uciszył, kilka gwiazd błysnęło na niebie. A już też i psy zaczęły ujadać w opłotkach, zdaleka słychać było bęben i piskliwe skrzypce. Chrzciny były wczoraj u sołtysa, a teraz poprawiny w

karczmie. Niektórzy z aresztantów zaczęli sobie pogwizdywać, a wszyscy przyspieszyli kroku.

— Śpiewaj, śpiewaj! — mruknął jeden. — Pośpiewasz ty lepiej jutro w kozie.

— W jakiej znów kozie? Albo to ja do kozy idę? Przecie mnie tam nie zamkną.

— No, ciebie może nie. Ale te "stepowce", te uciekiniery, co ich drugi raz pędzą, to najpierw pójdą do kozy.

— A przecie! — przytwierdził inny. — Taki Józik Werda, taki Sobiecha, taka Blacharzówna...

Hanka stanęła, jakby ją kto targnął. Do kozy? Ona do kozy? Tam, gdzie...

— Idi! — krzyknął na nią strażnik.

Spuściła głowę i zaczęła iść spiesznie. Dochodzili już do pierwszych chałup, Psy wypadały na drogę, szczekając zajadle, taneczny bęben brzmiał coraz głośniej. Hanka patrzyła po stronach niespokojnie; oczy jej szukały Mańki Czerkas. Ale dziewczyna odbiła się gdzieś naprzód i tylko jej śmiech słychać było. Szli tęgim krokiem. Jednych pobudzało zimno, drugich odgłosy rzępolącej od ucha kapeli. Już byli niedaleko kancelarji gminnej, kiedy się z nimi zetknęła kupka kobiet, idących od strony karczmy z głośną rozmową, śpiewami i pokrzykiwaniem.

— Niech będzie pochwalony! — przemówiła pierwsza.

Sąsiadka pociągnęła ją za chustkę.

— A dyć to złodzieiska! Frąckowo!

— A niech ta będą! Równo nie żydy...

Strażnik zatrzymał baby.

— Tak gdzie tut sołtys żywie?

— A dyć żyje! — odrzekła jedna z bab wesoło — w karczmie siedzi.

— A stójka gdzie? stróż?...

— A dyć i stójka w karczmie. Cała kancelarja tam siedzi...

Rozśmiały się baby. Strażnik zafrasowany kręcił głową.

— A skocz ino, Maciuś, do karczmy i powiedz sołtysowi, coby duchem szli — rzekła jedna z kobiet, pchnąwszy w kark chłopaka, który, spódnicy jej się trzymając, wytrzeszczał oczy na strażnika.

Kopnął się Maciuś, ale niemało czasu upłynęło, nim wrócił z sołtysem i stójką. Jednemu i drugiemu plątały się już języki. Wymowa wszakże sołtysa o tyle była przekonywująca, że w chwilę potym strażnik, zostawiwszy przy aresztantach stójkę, i dwuch parobków, co na ochotnika wyszli pilnować złodziei, poszedł z sołtysem do karczmy ogrzać się nieco. Stójka był człowiek miękki, a już kiedy się napił, to go choć na palec owinąć było można; nic też dziwnego, że kiedy ten i ów z aresztantów zaczął narzekać na siarczyste zimno, jedna i druga flaszka wódki znalazła się jakoś na rozgrzewkę, a po drugiej przyszła trzecia i czwarta. Rozwiązywano węzełki, kto miał grosz jaki — fundował sobie i innym. Podeszli jakoś niechcący ku karczmie, żeby było bliżej nosić, a że tu już skrzypice akuratnie słychać było, ten i ów, potaczając się, zawijał poły i do tańca się rwał.

Z progu karczmy dziewczyny i chłopaki przypatrywali się im ciekawie.

Werda posunął się do jednej.

Szarpnęła się i pokazała mu połowę pleców.

— Zaś bym tam... z takim... łbem golonym...

Zaczerwieniła się, jak wiśnia, inne wybuchnęły śmiechem.

Tymczasem Hanka podeszła do Mańki Czerkas, która, jaż się w boki ująwszy i zrzuciwszy chustkę z głowy, kołysała się na biodrach, przyśpiewując sobie:

Poszła panna do gaju,
Nakopała roznaju...

— Mańka! — szepnęła Blacharzówna — Mańka!

Dziewczyna spojrzała na nią pobielałymi od wódki oczyma. Zmyliła się jej piosenka.

Zaczęła z innej nuty:

A ja sobie poradzę:
Czarną kurę nasadzę,
A kurczęta poprzedam,
Kupię sobie w mieście...

Hanka szarpnęła ją za ramię.

— Mańka! Słuchaj! Mańka... idziesz?...

Ale Mańka już wyskakiwała.

Jak mi będzie jeszcze brak,
Dołoży mi starszy brat;
Jak mi jeszcze nie stanie
Dołożą mi mieszczanie...

— Hu! ha! — zaczęła hukać do taktu bębna i skrzypicy.

Hanka szarpnęła ją znowu.

— Słuchaj ty zatracona, miałaś bieżeć... miałaś iść...

Mówiła przyciszonym, gorączkowym głosem.

Mańka spojrzała na nią.

— Co mi ta uciekanie! — rzekła głośno. — Dajcie jeszcze wódki!

Hanka obejrzała się ze strachem, ale wszyscy sobą byli zajęci.

Usunęła się tedy w cień, poza baraszkującą gromadę.

Nazajutrz rano strażnik, zdając aresztantów w ręce wytrzeźwionego sołtysa, nie mógł się jakoś doliczyć jednego "numeru". Trzy razy ich ustawiał, trzy razy rachował, to od prawej, to od lewej ręki zaczynając, i zawsze mu brakowało do liczby. Z początku zafrasował się tym mocno, potym wpadł w złość i pięścią po karkach aresztanckich przejechał, nareszcie, widząc, że i to "nie nada", machnął ręką, zaklął, i z pisarzem gminnym, który na Mańkę zerkał, papierosa paląc, poszedł się rozgrzać na drogę.

Aresztanci śmiali się w kułak. Oni wiedzieli dobrze, kogo brakuje.

Krwawe, bezpromienne słońce podniosło się już nad ziemią, kiedy Hanka, naoślep biegnąca tą samą drogą, którą prowadzono partję, dopadła znanych sobie zaułków nad Wisłą. Tym razem była to ucieczka bez premedytacji nawet, bez zamiaru, rzecby można, jeśli za zamiar nie będziemy uważali głosu, który straceńcowi krzyczy w piersi: ratuj się, bo zginiesz!

Ona sama byłaby może zdumioną, gdyby jej kto powiedział, że to ucieczka. "Ratowała się" tylko, nic więcej.

Los sprzyjał jej nadspodziewanie. Szła a szła, zrazu patrząc na wieczorną gwiazdę, potym na jutrzenną. Spotykając z wieczora ludzi, zwalniała kroku. Ten i ów przemówił do niej: "pochwalony"; nikt nie przypuszczał, patrząc na tę drobną, ciemną postać, że to kryminalistka, zbiegła aresztantka. Dopiero kiedy nikogo nie było naokół, puszczała się co sił, a wiatr, targający jej lichą spódniczynę, czuł ją ciągle przeciw sobie idącą. Wreszcie znużył się wiatr i przycichł, ale dziewczyna szła dalej, dalej... Szła, a nędzne jej serce oddawało się jeszcze jakiejś nieokreślonej nadziei.

Wszedłszy już w zaułki, zboczyła, nakładając ka-

wał drogi, aby wpaść do Walentowej, przesiedzieć dzień w ukryciu, a zmrokiem puścić się dalej. Szczęściło jej się; stróża nie było w bramie. Wpadła do suteryn zdyszana. Wszedłszy do długiej, ciemnej sieni, zdziwiła się, że widniej tu jakoś było, niż zazwyczaj. Posunąwszy się nieco dalej, spostrzegła, że widność ta idzie przez drzwi,, jak szeroko od izby Walentowej otwarte. Zadziwiła się bardziej jeszcze i szła dalej. Cisza była zupełna. Doszła wreszcie do drzwi i cofnęła się od nich jakby pchnięta. Stancja była zupełnie pusta; na środku tylko, na ubitej ziemi czarnej leżała powięź słomy rozwiązana, prosta.

Jeszcze się Hanka nie opamiętała, kiedy drzwi naprzeciwko skrzypnęły, a w progu ich stanęła kobieta z konewką w ręku.

— A do kogo to panna? — zapytała.

— Do Walentowej, do praczki... ona się już, widzę, stąd wyprowadziła?

Kobieta zaczęła kiwać głową.

— Oj, wyprowadziła się, moja panno, wyprowadziła! Tyle tylko, że nie sama, ino ją ludzie wyprowadzili.

Hance nagle rozszerzyły się źrenice.

Patrzała na mówiącą, rozszerzywszy usta...

— Matko najświętsza! — wyszeptała po chwili zdławionym głosem.

— Tak, tak, moja panno! Zmarło się babinie. Co to panna z "familji"? Mój Boże! Jak teraz to się najdują, za groszem przewąchują... A jak starowinie kapki wody nie miał kto podać, to nikogo nie było. Ot, sieroctwo ciężkie na stare lata i tyle. Dobrze, co się Pan Jezus miłosierny ulitował i zabrał do swojej chwały...

Hanka stała jak słup, utkwiwszy oczy w leżącej na ziemi słomie. Sąsiadka wzdychała i mówiła dalej:

— Cztery dni ciało stało... to ci, świeć Panie nad jej duszą, wzdęło ją, aż strach! Co nie miało wzdąć? Tać to i choróbsko takie było, co jej najpierw nogi puchły, a potym dalej i dalej, aż też jak doszło do serca, tak nie mogła zwyciężyć, niebożątko. Wczoraj ją pochowali... A jakże. I to żeby nie mój, toby do dziś dnia stała, bo trumny nie było kupić za co. Dopiero my się zakrzątnęli, do cyrkułu dali znać i graty poprzedali. Ale cóż! Jak gospodarz zaczął za komorne liczyć, a potrącać, tak i na pochów niewiele zostało... Oj, namęczyła się, namęczyła, ażeśmy ją musieli na prostej słomie na ziemi kłaść, takie ciężkie miała skonanie...

Zawołał ją ktoś z izby. Westchnęła głośno i poszła.

Hanka się jakoś z miejsca ruszyć nie mogła. Jak załamała ręce, tak stała, zapomniawszy sama o sobie.

Wtedy z zapiecka wywlókł się kot bury, miaucząc zduszonym i ochrypłym głosem. Boki miał zapadłe, oczy iskrzące jak dwie żółte iskry, podszedł i zaczął się ocierać o nogi dziewczyny. Hankę porwał płacz nagły, rzęsisty. Rzuciła się twarzą na powięź słomy, a głuche łkania wstrząsały jej nędznym ciałem. Uspokoiła się wreszcie, zmówiła pacierz i ucałowawszy ziemię, ubitą stopami starej praczki, wstała. Kot miauczał ciągle, ale coraz słabiej, Wtedy schyliła się dziewczyna, i wziąwszy go pod chustkę, obejrzała się raz jeszcze po pustych kątach i wyszła.

VII.

Domostwo Pajęczakowej, lubo w ustronnej części miasta leżące, zawsze było pełne ruchu. Patrząc na nie z zewnątrz, od strony Sapieżyńskich koszar,

widać było przedewszystkim mały sklepik z wiktuałami, którego wpółoszklone drzwi za każdym poruszeniem rozbudzały cienki, silnie brzęczący dzwonek. Dzwonek ten odzywał się tak często, iż zdawać się mogło, że mały sklepik zaopatrzony jest we wszystko, czego ludziom wogóle, a mieszkańcom Zakroczymskiej w szczególe do życia potrzeba Wnętrze jego wszakże nie odpowiadało tym nadziejom. Półki były prawie puste i kurzem zasute, na niższych tylko porozkładane pudełka z papierosami, wyschłe cytryny, ołówki, tabaka, tytoń, kawałki mydła, szuwaks i zapałki. Na kramnicy, za którą kręciła się usługująca dziewczyna, stał koszyk z bułkami i parę słojów z farbowanymi przysmakami dla dzieci. W jednym kącie wysoko spiętrzone drwa w wiązkach, w drugim worek soli, nafta i kupka kartofli — oto prawie wszystko, co na pierwszy rzut oka spostrzec było można. Drugi rzut oka zatrzymywał się zwykle na zmiętej, wybladłej perkalowej firance, która, rozwieszona pomiędzy dwiema sklepowymi szafami, zasłaniała schodki, prowadzące do dalszych części domostwa. Brudna ta szmata ciągle prawie drżała, to od pędu powietrza z zewnątrz, to od jakiegoś stłumionego ruchu, który się poza nią odgadywać zdawał. Ten, kto w tym sklepiku posiedział choćby z godzinę, mógł zauważyć, że większa część przychodzących tu klijentów przynosi z sobą jakieś zawiniątka, paczki, tobołki, i że wielu z tych, nawet, którzy nic nie przynoszą, mają coś do szeptania ze sprzedającą dziewczyną. I jednych i drugich puszczała ona za firankę, niedługo zatrzymując w kramie, i wtedy to odsłaniały się owe trzy schodki, prowadzące do niewielkiej lecz dostatnio wyglądającej izby. Kufry, szafy, komody, wszystko tam było zamczyste, z widocznym względem na bezpieczeństwo sporządzone, a wysoko zasłane łóżko pod ścianą, peł-

ną palm i obrazów świętych, nadawało całemu przybytkowi temu wyraz dobroduszności i powagi. Mało kto wszakże z przechodniów dłużej się tu zatrzymywał. Wszyscy dążyli na lewo, gdzie przez nawpół ciemną spiżarkę czy komorę wchodziło się do niskiej, zakopconej, bardzo obszernej izby, gdzie główne miejsce zajmował wielki komin z okapem, w pobliżu którego stał długi, z tarcic zbity, na krzyżulcach oparty stół sosnowy. W przeciwległym kącie ustawiony był jakby rodzaj niskiego a bardzo szerokiego, napchanego słomą tapczana, z której to słomy wyglądały niekiedy główki jasne i ciemne młodszych i starszych dzieci. Chmura tytoniowego dymu wisiała pod brudnym pułapem. Do izby tej, którą z pierwszego wejrzenia wziąć było można za jakąś nędzną garkuchnię, przesuwano się we dnie ukradkiem, porozumiewano w niej szeptem. Czasem tylko wybuchały tu nagle głosy dziecięce, jak świergot wróbli, wprędce uciszane w jakieś zadławione szlochanie i płacze. Nocą zato było to gwarno, jasno i wesoło. Na kominie wrzały garnki, na stole dymiły misy, porozwalani na ławach przybysze kopcili tytoń i popijali gorzałkę. Pomiędzy nimi widać było małych chłopców, dzieci prawie, którzy tak samo pili i palili, jak starzy.

Przy kominie stawała wtedy pani Pajęczakowa lub Pajęczewska, osoba zażywna, pod sześćdziesiątkę mieć mogąca, której małe, bure oczy były w nieustannym ruchu, a ruchomy koniec cienkiego, nadgryzionego przez ospę nosa zdawał się wietrzyć na wszystkie strony. Ten nos i te oczy same jedne trzymały na wodzy burzliwe żywioły tej izby, z której, pomimo szczelnie zamkniętej okiennicy, aż na podwórze wybiegały nieraz odgłosy kłótni i bójek. Pajęczakowa, niegdyś sama karana kilkakrotnie więzieniem, jako złodziejka, spoważniała obecnie i nie

narażając się na zmienne losu igrzyska, została "paserką", a także tak zwaną "aferzystką".

Ani paserka, ani aferzystka nie kradnie sama. Pierwsza przechowuje, nabywa i sprzedaje rzeczy kradzione, druga trzyma u siebie większą lub mniejszą "komendę", złożoną z różnego wieku dzieciaków, które "na robotę" wysyła, zaopatrując je w odpowiednie instrukcje. Komenda znosi łupy, a dostaje zato miskę strawy, łachman jaki na grzbiet i miejsce na wspólnym barłogu. Kto nic nie przyniesie, także coś dostanie, jak o tym świadczą sińce mniej zręcznych lub mniej szczęśliwych. Aferzystka bierze się do dzieła roztropnie i z namysłem. Ona się nie skompromituje ladajakim wyborem, zwłaszcza co do starszych.

Jeszcze wtedy, kiedy sama siedzi w więzieniu, (aferzystki zwykle przechodzą tę kolej), upatruje sobie najmłodsze z dziewcząt, opiekuje się nimi, oddaje im swoje skwarki, pożycza mydła, nici, częstuje wódką, a nieraz nawet odstępuje im swoje "sztuczki", to jest kawałki mięsa wydzielone dla siebie.

Kiedy odsiedzi wyrok, odwiedza je, przynosi im to pomarańcze, to bułki, to parę groszy; kiedy zaś młoda delikwentka ma być wypuszczoną, aferzystka u bramy na nią czeka, aby ją wziąć pod opiekę swoją. Rekrutacja taka odbywa się niezmordowanie i z pewnym, jak widzimy, zachodem i kosztem. Nic dziwnego, że się to opłacać musi — i rzeczywiście się opłaca. Młodsza komenda zbiera się bez trudu. Dzieci głodnych, obdartych, gotowych na wszystko, i nie należących do nikogo, zawsze jest dosyć w wielkim mieście.

Pajęczakowa drobiazgu tego miała u siebie z dziesięcioro może. Były to "sieroty po siostrze", to znów "sieroty po bracie", a czasem "sieroty wzięte z miłosierdzia". Całe też suteryny z oficynami

włącznie podziwiały litościwe serce tej dobrej osoby. Czasem wprawdzie przepadło któreś z tych sierot w jakiejś mniej fortunnej wyprawie; mówiło się wtedy, że Jasiek albo Antek poszedł do terminu, a opróżnione na tapczanie miejsce zajmował na upatrzonego wybrany nowicjusz.

Starsze dziewczęta także przepadały czasem. Pajęczakowa wzdychała wówczas głośno nad niewdzięcznością ludzką, a normalna liczba sińców na grzbietach młodszej komendy zwiększała się znacznie.

Tyle co do ludności stałej. Ludność niestała coraz to świeżą napływała falą. Złodzieje z profesji i okazjonalni, rekrutowani z pomiędzy wszelkiej hołoty, wyrobnicy bez zajęcia, służba obojej płci i różnej kondycji, żydzi, żołnierze urlopowani i nieokreślonego gatunku woluntarjusze — wszystko to wsuwało się chyłkiem we dnie, a zbierało tłumnie nocami, kłócąc się, godząc i dokonywując tajemniczych transakcji, których lwia część padała do kufra Pajęczakowej. Jaki był stosunek tej nory do policji — trudno określić. Kłamstwem byłoby utrzymywać, że policja nie wiedziała o jej istnieniu. Owszem, z policją miała Pajęczakowa jakieś zastarzałe zatargi i nieporozumienia, dla zażegnania których co środa zapalała lampkę przed Matką Boską, a co piątek przed panem Jezusem. Ale niżsi przedstawiciele tej wrogiej władzy, pojedyńczo wzięci, mieli dla Pajęczakowej jakąś szczególną słabość, która polegała na tym, że jedni wchodzili do mieszkania jej nasrożeni, a wychodzili uśmiechnięci, często wprost rozczuleni, z piękną rumianością na marsowych obliczach, inni zaś nie wchodzili tam wcale. O tych ostatnich myśląc, wzdychała Pajęczakowa ciężko i poglądała z troską na swój zielony kufer. Prócz tego miała jeszcze jeden kłopot. W policji zmieniali się

ludzie, a z nimi zmieniał się stopień czynności i energji. Niema nic niebezpieczniejszego, jak tacy ludzie nowi, póki się nie oswoją.

U takich to drzwi, późnym zimowym wieczorem, stanęła Hanka. Wiatr mroźny dął od strony Wisły, ze świstem przelatując puste, niezabudowane przestrzenie; kilka drzew przed Sapieżyńskim gmachem szumiało obnażonymi z liści gałęziami, na ulicy nie było widać nikogo, a migocząca gdzieniegdzie latarnia zdawała się powiększać jej głęboką ciemność.

Dziewczyna chwilkę już stała, dygocząc z zimna i jakiegoś mimowolnego przestrachu, kiedy u Franciszkanów odezwał się dzwon wieczorny. Było coś przejmującego w tych dźwiękach. Odezwał się raz, ciężko i żałośnie zakołysał na wietrze, zmieszał jego świsty i ucichł. Wtedy wiatr rozwinął skrzydła, zagwizdał przeraźliwie i słupem śnieżycy zakręcił. I znów cisza. Hanka trzęsącymi się usty zaczęła odmawiać "anioł pański"; z pod chustki jej dobywało się przyduszone miauczenie burego kota Walentowej. Szepcząc machinalnie pacierz, dziewczyna oglądała się z trwogą poza siebie, serce jej było w dziwnym jakimś ucisku.

Dzwon znów zahuczał. Natężony, ponury, groźny, bił powietrze powolnym, przerywanym jękiem. A tuż zaraz doleciał z za rzeki wicher z wielkim świstem, niosąc jakby wołania o pomoc przerażonych głosów. I znów cisza. Tylko drzewa przed koszarami skrzypiały, to gnąc się, to prostując swoje obumarłe czoła. Dziewczyna skończyła pacierz i już rękę na klamce kładła, kiedy się na nią natknął jakiś, z workiem na plecach idący człowiek, który też do sklepiku wchodził.

— Co, u djabła! — zaklął — żeby tak na drodze stać! Wchodzić, to wchodzić, a nie, to miejsca nie zastępować.

Cofnęła się wystraszona. Drzwi się otworzyły i zamknęły z brzękiem. Dziewczyna została za nimi wahająca się, niepewna...

Wtedy dzwon ozwał się po raz trzeci, a milknące łkania jego spiżowej piersi rozpływały się w powietrzu wielkimi kręgami, budząc jakieś echa dalekie.

Ale zrywająca się z nową siłą wichura stłumiła je i uniosła. Świst przeraźliwy przeleciał po kominach i dachach, potym się rozciągnął w jęki, potym w wycie głuche.

Hanka znów pacierz szeptać zaczęła. Nie wiedziała, czy ma iść, czy zostać. Coś ją przed tym progiem trzymało. Zdawało jej się, że w poświstach wiatru słyszy trwożny głos starej praczki, która woła na nią: "Hanuś! Hanuś!..." Odwróciła głowę ku Wiśle, szepcąc "wieczny odpoczynek..."

Naraz od strony miasta dało się słyszeć szybkie tupotanie, któremu towarzyszyły świeże, dziecięce głosy.

Kilku chłopców zatrzymało się u pobliskiej latarni. Oglądali coś pilnie, pochyliwszy głowy.

— Abo ja głupi — mówił jeden — wszystko babie dawać? Co papierki, to papierki, to już niech tam! Ale czterdziestówka i miedziaki nasze.

— To się wie — potwierdził najmniejszy, siedmioletni może. — Albo to się człowiek nie napracował, nie namarzł?...

I, jakby na potwierdzenie tego, tupał w miejscu drobnymi stopami i silnie pociągał zsiniałym, zadartym noskiem.

— Tylko dziel, Józik, po sprawiedliwości! — upominał trzeci.

Józik się oburzył.

— Głupi! Po sprawiedliwości będę mu tam dzielił! Alboś ty co zarobił dzisiaj?

— Jak matkę kocham, Józik! Żebym tak szczęśliwie jutra nie doczekał, żebym się z tego miejsca nie ruszył — tłumaczył się zaatakowany, bijąc kułakiem w pierś drobną — jak nie ja pierwszy zaczepił tego grubasa.

— Widzicie go? pierwszy!... A nie Wicek to ma zastąpił od cukierni?...

— Ale! — dodał mały. — Nie Wicek to ...

— Dać spokój! Dać spokój! — przemówił inny. — To gorzej, że ci Wicka chwycili... psianoga! Znów się stara wściekenie...

— Stójkowy idzie, stójkowy!... — zawołał nagle malec stłumionym głosem.

Rozpierzchnęli się w jednej chwili.

Istotnie ktoś nadchodził ciężkim, miarowym krokiem. Hanka z determinacją nacisnęła klamkę. W tej chwili właśnie stała sama Pajęczakowa na schodkach, prowadzących z tak zwanego ''pokoju'' do kramu.

— Co to panna? — zapytała, widząc, że się dziewczyna przy drzwiach zatrzymuje.

Hanka podeszła i pocałowała ją w rękę.

— Chciałabym... chciałabym...

Nie wiedziała, jak ma to powiedzieć.

— Pójdźno panna za mną — rzekła Pajęczakowa, cofając się ze schodków.

Brudna firanka poruszyła się i opadła za wchodzącą do ''pokoju'' Hanką.

— Czegożeś to panna chciała? — przemówiła paserka.

— Chciałabym zostać tu... służyć...

— Zostać? Może poto, żeby kąty przewąchać, a potym uciec?

— Nie ucieknę — rzekła Hanka głucho. — Nie mam do kogo uciekać..

— Panna co? Z pobytu? Czy może wprost?...

Dziewczyna milczała.

— I długo panna siedziała

— Trzy lata...

— Fiuuu!... To o grube rzeczy szło widać!...

Dziewczyna spuściła głowę.

Wtym z sąsiedniej izby buchnął krzyk, gwałt, słychać było szamotanie się, bójkę.

Pajęczakowa żywo zwróciła się ku drzwiom.

— A bodajże ich zaraza i z wrzaskiem takim!... — rzekła. — Znów się kanalje pobiły... Skaranie boskie!

Czekała chwilkę, nadsłuchując, ale hałas wzmagał się jeszcze. Co gorsza, wydało jej się, że słyszy jakieś obce głosy. Ruszyła się do wyjścia.

— Czekaj tu panna — rzekła — zaraz...

Nie domówiła jeszcze, kiedy drzwi, do których szła, otwarły się gwałtownie, a w progu stanął policjant. Tuż za nim szedł drugi, trzeci, w głębi widać było całą obławę. Ten, który szedł pierwszy, skoczył ku dziewczynie i chwycił to, co mu się zdawało ukrytym pod chustką łupem. Wrzasnęła Hanka przeraźliwie i zostawiwszy w ręku policjanta chustkę wraz z miauczącym kotem, jak szalona rzuciła się na schodki, potym przez kram do drzwi, a potrąciwszy obławnika, który się tu z drągalem jakimś szamotał, pędem puściła się ku Wiśle. W uszach miała świst i szum, w oczach ogień. Zdawało się, że ją wiatr niesie. Za sobą słyszała pogoń, przed sobą widziała rzekę. Głos jakiś żałosny, strwożony, wołał na nią: "Hanuś! Hanuś!..."

Dopadła brzegu, na lód, który tu mieliznę chwycił — skoczyła i, zmrużywszy oczy, głową naprzód rzuciła się w wodę.

Zabulgotała woda i zamknęła nad nią sine, mroczne, coraz dalej rozbiegające się kręgi.

W tej chwili nadbiegł strażnik i ujrzał dwie sztywne, bielejące w ciemnościach ręce, które się wynurzyły z rzeki i znów znikły...

Dzwon u Franciszkanów zahuczł przeciągłym jękiem.

VIII.

— No, no! — mówił w dwa miesiące potym młody lekarz do jednej z chorych aresztantek, leżących na ogólnej sali więziennego lazaretu.—No, no! wcami dziś nieźle wyglądasz. Za jaki tydzień, to cię i wypiszę.

Poklepał ją po ramieniu.

— Straszliwie wychudła — dodał sam do siebie.

Istotnie, zdawało się, że za każdym poruszeniem chorej słychać chrzęst kości, obleczonych zwiędłą i przyschniętą skórą.

— Porządkowa! — zwrócił się doktor do dozorującej kobiety. — Nie możnaby chorej dawać trochę mleka, trochę buljonu, coś posilniejszego?...

Porządkowa podniosła ramiona i rozłożyła dłonie.

— A cóż posilniejszego? — odrzekła. — Dostaje herbatę, kleik, to, co każda.

Doktor cmoknął językiem niecierpliwie. Powstrzymał się przecież i, zwróciwszy się do chorej, dźwignął jej poduszkę pod głową.

— Nie leż tak ciągle — rzekł. — Próbuj się podnieść trochę, posiedzieć na łóżku.

Poruszyła się, chcąc spełnić polecenie, ale widać było, że jej to ciężko przychodzi.

Wtym przebiegający posługacz wsadził głowę przez drzwi wpółotwarte.

— Wielmożny z jakąś panią... — rzekł.

Doktor zmarszczył w pierwszej chwili czoło, potym się rozpogodził i piękną, delikatną ręką przegarnąwszy włosy ciemne, podszedł ku drzwiom.

Towarzystwo zbliżało się właśnie.

— Ale co tu — mówił uprzejmym głosem pan radca — to już nie puszczę pani, póki się nie zapytam, czy niema jakiego niebezpieczeństwa? Doktorze — dodał, stając w progu — czy można wejść?

Doktor się uśmiechnął.

— Kto się nie boi, ten wszędzie wejść może.

— A widzisz pan! — rzekła dama. — Ja się nie boję.

Posunęła się ku progowi — weszli.

Na pierwszym z łóżek leżała młoda kobieta, więcej do szkieletu, niż do żywej istoty podobna.

Przy niej spało półroczne może, żółte jak wosk dziecko, poruszając przez sen bladymi wargami.

Dama pochyliła się nad niem.

— Ach, biedactwo! — rzekła — musi być głodne!

— Nic mu nie będzie do samej śmierci! — roześmiał się dobrodusznie pan radca. — Patrz pani, jaki łakomy...

Wsadził mu w usta mały palec. Dzieciak chwycił go, wciągnął i nie otwierając oczu, zaczął ssać zapalczywie. Krople potu wystąpiły mu na żółtą, pomarszczoną twarzyczkę. Nie czując wszakże skutku swojej pracy, zaczął się krzywić od płaczu.

— Pójdźmy, pójdźmy, bo się rozbeczy — rzekła dama.

Pan radca usunął palec.

Istotnie dziecko zaczęło piszczeć cienkim, słabym, jakby zduszonym głosem. Młoda matka stęknęła i obróciwszy się z wysileniem, podała mu pierś wyschłą, pustą...

Zbliżyli się do drugiego łóżka. Leżała na nim nawznak kobieta z czerwoną, rozognioną twarzą i szklistymi, wlepionymi w sufit oczyma. Usta miała spalone gorączką, otwierała je od czasu do czasu, przełykając ślinę i dyszała ciężko. Pan radca szepnął coś doktorowi.

Doktor skrzywił się i ramionami wzruszył.

— Nic można wiedzieć — rzekł. — Trzeci dzień dopiero... Tam i tak łóżka zajęte...

Poszli dalej.

— Ot, to natura silna — odezwał się pan radca, ukazując siedzącą na łóżku aresztantkę, z którą doktor rozmawiał przed przyjściem gości. — W styczniu się topiła, z wody ją już nieżywą prawie wyciągnęli, przeszła potym ciężki tyfus i nic.

— Topiła się! — zawołała z wielkim zajęciem dama i zaczęła się ciekawie przyglądać chorej.

— To nic! — dodał tryumfalnie pan radca — ale co za charakter! Ja zawsze powiadam, że gdyby choć połowę miała tej wytrwałości w dobrym, jaką ma w złym, toby była dzielna niewiasta! A podnieśże głowę! — dodał, biorąc chorą pod brodę i kierując twarz jej ku światłu. — Przystojna dziewczyna — rzekł jeszcze i uśmiechnął się łaskawie.

Chora z wysiłkiem odwróciła głowę w żądanym kierunku. Ciemne włosy wymykały się z pod czepka, rozsypując po zapadłych skroniach. Na chude policzki wybiegł ciemny, przelotny rumieniec, wąskie wargi drżały, a długie rzęsy u pociemniałych powiek rzucały jakiś silny mrok na tę twarz wyniszczoną, znędzniałą.

— Niech pani wyobrazi sobie — rzekł, puściwszy brodę chorej, radca — że to jest niepoprawna złodziejka. Dwa razy wypuszczona z więzienia, dwa razy uciekła z pobytu do złodziejskich szajek. Tak

jej ten chleb zasmakował. Kiedy ją ostatni raz obławą wzięli, to do Wisły im z pod ręki skoczyła.

— Ze strachu? — zapytała dama.

— Gdzie tam ze strachu! z takiej już zaciętości złodziejskiej. O, już to jak się nam uda egzemplarz, to buzi dać! — Przyłożył dwa palce do ust, skłonił się i cmoknął grubymi wargami.

Na twarzy dziewczyny odbił się wyraz niewymownego udręczenia. Spuściła głowę na piersi i zacisnęła splecione ręce na siwej więziennej kołdrze.

— Ach, Boże! — szepnęła dama. — Taka młoda dziewczyna. Czyż ci to nie lepiej, moje dziecko, poprawić się, żyć uczciwie?... Widzisz, jakie to skutki złego...

Chora milczała. Brwi miała ściągnięte, usta drżące...

— Co do niej pani będzie mówiła!... — rzekł pan radca. — Szkoda słów pani. Czy ja się to mało nagadałem, naperswadowałem!... I co? To stworzenie bez żadnego czucia!

Dama westchnęła i odstąpiła krokiem, zrezygnowana. Chora przymknęła oczy, pierś jej podniosła się ciężkim oddechem.

— Cóż, doktorze — odezwał się pan radca — prędko ona będzie mogła iść?

— Tak — odrzekł z namysłem doktor — za jaki tydzień, dziesięć dni...

— Do Grójca zajdzie? Ojej! Czemu nie!

Z piersi młodej aresztantki dobył się jęk głuchy; głowa jej opadła ciężko na twardą, więzienną poduszkę.

. . . .

W dwa tygodnie potym osłabła i chwiejąca się jeszcze po przebytej chorobie, szła Hanka nanowo w pobyt. Tym razem pan radca, nauczony smutnym doświadczeniem, przedsięwziął większe środki ostro-

żności. Z wysłaniem Hanki nie czekał, aż się zbierze znaczniejsza partja, jak to zwykle bywa, ale kazał pędzić dziewczynę samowtór z Michalakową, która też już parę razy uciekała do dzieci i, również jak Hanka, należała do kategorji "niepoprawnych".

— Czyste zwierzę, jak Boga kocham! — mówił zirytowany zwierzchnik do swego pomocnika, pisząc trzecią już z rzędu "rozpiskę" dla Michalakowej, która z nawpół obłąkanym wzrokiem, obdarta, posiniona przez pijaka męża, u drzwi stała. — Patrz pan tylko, do czego ona podobna! Młoda jeszcze kobieta, a jak wygląda! I naco jej to? Poco. Ma tam spokój, nikt palca na nią nie zakrzywi. Ona tu ucieka, żeby ją chłop pijanica poniewierał. Mówi, że do dzieci..

Przechylił głowę ku światłu i zaczął uważnie zdejmować włosek z końca pióra. U drzwi dało się słyszeć ciche szlochanie.

— To, powiadam panu, miałem raz wyżlicę Woltę, której szczeniaki podarowałem znajomemu ze wsi, coś z pięć mil od Warszawy. I wyobrać pan sobie, że to suczysko trzy razy uciekało i te szczeniaki po jednemu w zębach znosiło. Kazałem zamknąć, to wyła tak, że to ludzkie wyobrażenie przechodzi. No, i musiałem szczeniaki kazać potopić w gliniance, bo sobie rady dać nie było można. I co pan powie? Moja suka póty latała, póty wąchała, aż je znalazła i poznosiła mi je przed same okna. A wyła!... Żona mi mało spazmów nie dostała, słuchając tego wycia. Jeszcze akurat Ignaś był mi wtedy chory... Na, masz! — rzekł, podając strażnikowi rozpiskę. A pilnuj mi ich, jak oka w głowie. Jak baba albo dziewczyna drapnie, sam za to odpowiesz.

Szła tedy Hanka z Michalakową, która tym razem zabrała z sobą najmłodsze dziecko, z pięć lat już może mającego chłopca, z wielką głową, odętym

brzuchem i zgiętymi w pałąk, bezwładnymi nogami. Ten brzuch, te nogi i długie, wątłe ręce, którymi dziecko obejmowało szyję niosącej je matki, czyniły je podobnym do wielkiego pająka, a blade, szkliste, na wierzchu głowy osadzone oczy i szary łachman, który je okrywał, jeszcze to podobieństwo zwiększały. Dziecko nie mówiło, nie płakało nawet, ale zwiesiwszy swą ogromną głowę na ramię matki, odzywało się niekiedy przykrym, jakby ptasim piskiem.

— Cichoj, cichoj, jagódko! — mówiła wtedy Michalakowa, gładząc jego obrzękłą, bladą twarzyczkę — kupi ci matka pierniczek, ino zajdziem.

I uginając się pod ciężarem chłopca, przyspieszała kroku, Hankę wyprzedzała nawet.

— Tfu!... — spluwał idący za nimi strażnik — Czort by wziął!... Ot, kraszanka!

I znów szli w milczeniu.

A wkoło nich rozmaiła się cudnie piękna wiosna. Był ranek, a powietrze pełne pogody i woni. Wielkie, stare topole, w dwa rzędy wzdłuż gościńca sadzone, złociły się pod słońce lśniącym, żółtawym jeszcze, świeżo z pączków roztulonym liściem; po sadach kwitły czeremchy i tarnie, nad trawami zbóż i łąk brzęczały upojone życiem owady, ze spadków polnych uciekała z głośnym szmerem bystra, modra woda, ciepłe powiewy przynosiły z oddali szumy młodocianych gajów, skowronki zalewały powietrze dzwoniącą pieśnią. Z tych wszakże trojga nikt nie zważał na to.

Owszem, oni sami zdawali się być jakąś ciemną, ruchomą plamą, na ten słoneczny widnokrąg rzuconą.

Plama ta posuwała się coraz dalej, jakby spychana przez ten jasny, wesoły gościniec, po którym toczyły się bryczki i wozy, parskały rzeźwo konie

i rozlegały się zmieszane, ochocze głosy ludzkie. Wszystko dążyło w tęż samą stronę, bo w miasteczku jarmark wypadał; nikt przecież nie pozdrowił tych idących spiesznie kobiet, za którymi z karabinem na ramieniu postępował żołnierz, przy wimijaniu każdego woza, każdej kupki pieszych powtarzający grubym, twardym głosem swoje:

— "Idi!... idi!..."

Zbliżali się do wsi. Nad drogą, niedaleko granicznego kopca, na którym stała bosa pastuszka gęsi, w jednej, otwartej na piersiach koszulinie, z zieloną rózgą w ręku; pomiędzy czterema symetrycznie zasadzonymi wierzbami wznosił się krzyż poczerniały, u stóp którego, jakby garścią rzucone, zakwitło kwiecie polne.

— O Panie Jezu Chryste! — jęknęła Michalakowa, której coraz grubsze krople potu po czole spływały. — O miłosierny Jezusieczku, zmiłuj się nad nami!...

I nie puszczając z rąk dziecka, na kolana padła, a ucałowawszy zroszoną jeszcze ziemię, zaczęła mówić pacierz tym wpółgłośnym, przerywanym ciężkimi westchnieniami szeptem, który jest właściwy żarliwej modlitwie naszego ludu.

Stało się to w chwili, kiedy strażnik zapalał swą "trubkę", klnąc przez zęby, że mu ognia chwycić nie chciała. Hanka przeżegnała się i uklękła także. Na gościńcu nie było nikogo.

Rozkołysało się serce Michalakowej od owych ciężkich westchnień, a stłumiony szept pacierza przeszedł w głośną, jęczącą modlitwę.

— O Panie Jezu Chryste! O najsłodszy Jezusieczku! — mówiła, wznosząc oczy ku wielkim, sterczącym gwoździom, którymi były przybite nogi ukrzyżowanego — ochwiaruję ci też ten pacioryszek

na cześć i chwałę Twoją przenajświętszą, na zbawienie duszy mojej, amen! A ochwiaruję ci go, Panie Jezu Chryste, za te moje sieroty, coś je stworzyć i odkupić raczył męką swoją przenajświętszą, a com ja, matka, ostawić je musiała na poniewierkę i na zatracenie... I ochfiaruję ci ten pacioryszek za tego mizerotę, co go oto niosę i za tą drogę moją, i za wszystkie grzechy i ciężkości moje i krzywdy!.. A jakoś się, Panie Jezu Chryste, w Ogrójcu krwawo pocił, tak mnie dopomóż zwyciężyć tę krzywdę i tę ciężkość moją. O Jezu, Jezu miłosierny, zmiłuj się nad nami!... — Zamilkła. Wielkie łzy spływały po jej znędzniałej, wzniesionej ku błękitom twarzy. Poruszała wargami bez głosu, jakby się porozumiewając w ciszy z Tym, do którego o pomoc wołała.

Co do Hanki, ta nie zdawała się być wzruszoną. I ona wprawdzie odmawiała zdrowaśki, ale jej oczy, pełne posępnego ognia, utkwione były daleko przed siebie, a brwi ściągnięte nadawały jej spojrzeniu wyraz twardy i niepocieszony.

Klęczały jeszcze te kobiety, kiedy na gościńcu dał się słyszeć turkot. Nadjeżdżała bryczka.

— Idi! idi! — krzyknął strażnik i pchnął kolbą Michałakową, która w zapomnieniu swoim nie słyszała tego rozkazu.

Ruszyli.

— Dlaczego te kobiety, tatku, żołnierz prowadzi? — spytał siedzący na bryczce obok ojca chłopiec.

— To złodziejki! — rzekł ojciec, skrzywiwszy się wzgardliwie.

— Ale ja widziałem, tatku, że one pacierz mówiły pod krzyżem...

— Co tam taki złodziejski pacierz! Pan Bóg takich pacierzy nie słucha.

Kiedy strażnik przyprowadził do magistratu Blacharzównę i Michalakową, okazało się, że miejsca na nie w kozie magistrackiej niema. Przed samym jarmarkiem zdarzył się kilka większych kradzieży w okolicy, dopuszczono się nawet rabunku na publicznej drodze, wielu więc ''pobytowych'' było pod tymczasowym śledztwem i nietylko oficjalna koza ale i jej przyległości na areszt zajęte zostały.

W takich okolicznościach niepodobna było drobiazgowo pilnować się litery prawa, a to tym więcej, że pan burmistrz sam od kilku dni cały ciężar urzędowania na swych barkach dźwigać musiał, ponieważ pan eskretarz wyjechał na parotygodniowy urlop, zostawiając w zastępstwie swoim jąkającego się kancelistę, z którym krewki zwierzchnik w żaden sposób dogadać się nie mógł Chwyciwszy się tedy za głowę, na którą mu spadał ten dodatkowy, niespodziewany kłopot, pan burmistrz od strażnika ''rozpiski'' odebrał, ''kwitancję'' mu odpowiednią dał i kazał się obu kobietom wynosić precz z kancelarji, gdyż ścisk w niej był nie do opisania. Zrobił to tym spokojniej, że istotnie ta zmizerowana dziewczyna i ta kobieta z kalekiem dzieckiem na ręku litość raczej, nie surowość budzić mogły.

Hanka, która, w miarę, jak się do miasteczka zbliżali, zaczęła się trząść pod wpływem jakiegoś nieprzytomnego strachu, którym jej oczy gorączkowo pałały, uspokoiła się teraz, a raczej nanowo zapadła w tę głuchą, tępą obojętność, jaka od owego wieczora na Zakroczymskiej była właściwym stanem jej duszy. Usłyszawszy, że ma iść precz, raz tylko westchnęła, jakby z uczuciem wielkiej ulgi, a potym zawróciła się powolnym, ociężałym ruchem, nie zdając się słyszeć nawet bardzo dobitnego ''rugania'', które strażnik z własnej już gorliwości na drogę jej dokładał.

— I gdzie teraz Hanusia pójdzie — zapytała Michalakowa dziewczyny, kiedy się znalazły za kancelaryjnym progiem.

— Albo ja wiem? — odrzekła Hanka posępnie. — Tak oto pójdę... Roboty i tak nie znajdę.

— To już się razem trzymajma — mówiła dalej kobieta. — Najgorzej, żeby jakie posiedzenie znaleźć. Już mi do cna ręce pomdlały...

— Ano, to mi go dajcie, poniosę.

Chciała dźwignąć chłopca, ale się sama w tył przegięła i mało nie padła.

— Nie mogę — rzekła — tak mię to choróbsko zjadło, co strach. O la Boga!...

Chwyciła się ściany i stała przez chwilę jak zamroczona.

— Pójdźma ino kęs z drogi — odezwała się Michalakowa. — Chłopaka posadzę, Hanusia mi go dopilnuje, a sama skoczę tu do jednej... Może się o co przepytam.

Zeszły. Chłopak z wetkniętą w rękę bułką został na opiece Hanki. Nie wiedzieć wszakże dlaczego, bułki nie jadł, tylko piszczał i oglądał się na strony. Minęła godzina, minęły dwie, nareszcie Michalakowa wróciła.

— Gdzie tam! — zawołała już daleka. Co się kto dowie, że z dzieciakiem, to ani gadać nie chce.

Zasępiła się i na ziemi siadła, podparłszy rękami głowę. Chłopca na ręce nie wzięła i z boku tylko na niego patrząc, wzdychała ciężko.

Nadchodził wieczór. Dzieciak piszczał nieustannie i wyciągał do szyi matki długie, cienkie ręce

— A cóż! — rzekła wreszcie kobieta, biorąc go na kolana. — Trzeba się chyba tu dziś przenocować.

Hanka nic nie odpowiedziała. Siedziała wyprostowana, z przymkniętymi oczyma, z głową w tył przechyloną i o żerdzie płotu opartą. W zapadającym zmroku twarz jej wydawała się przeraźliwie bladą.

— Aby do jutra! — szepnęła półgłosem Michalakowa, jakby dla dodania sobie otuchy, okrywając uczepionego u szyi swej chłopca, którego wielka głowa zwisała jej bezwładnie przez ramię. — Aby do jutra!

Ale jutro przeszło, przeszło i pojutrze, a kobieta roboty znaleźć nie mogła.

— Z dzieckiem? Cóż to za robota z dzieckiem? Jeszcze z takim! — wymawiał się każdy. Istotnie! Poco mieli brać babę z dzieckiem, "jeszcze takim", kiedy było aż nadto rąk młodszych, swobodnych, które za mizerną zapłatę gotowe były cały dzień kopać, grabić, siać, co kto chciał. Małoż to tam "pobytówek" raz wraz przypędzano?

Tymczasem Hanka wynajęła się do pielenia, wprawdzie za życie samo, ale i to dobre. Cięższej roboty poradzić jeszcze nie mogła, a i ta szła jej niesporo; najmniejszy dzieciak wyprzedzał na zagonie tę nędzną, ociężałą dziewczynę, na którą gospodarz razwraz fukał i obiecywał "przepędzić". Nie przepędzał jednak, litując się jej nędzy, a nadto pozwolił jej sypiać "na starym ogrodzie" w szopie, w której się też Michalakowa z Jaśkiem swoim na noc tuliła. Gdzie się obracała we dnie, z czego żyła, czy głód marła, czy żebrała — niewiedzieć. Ale przez te kilka dni zczerniała i schudła strasznie, a nie chcący się już jej szyi puścić dzieciak piszczał po nocach coraz przeraźliwiej. Może był głodny, może mu zimno było w tej ciemnej, zatęchłej szopie. Matka nie miała już ani chustki, ani fartucha, którymi go okrywała zrazu.

Upłynął tak tydzień cały, a Michalakowa roboty dostać nie mogła.

— Choćbym dzieciaka napowrót do ojca odniosła?... — rzekła raz niepewnym głosem do leżącej już w barłogu Hanki. — Tylko, że mi nijak stąd bieżeć. Złapią jeszcze... A i tam... Boże zmiłuj się! Toć go to pijaczysko na nic sponiewiera... zatłucze!... Żeby to jezcze dzieciak, jak inne... Do ludzi bym, jak te starsze, oddała. Ale takie!...

Nie dokończyła i westchnęła ciężko. Potym zaraz zaczęła piszczącego Jaśka głaskać po ogromnej głowie, jakby mu chcąc powiedzenie to nagrodzić.

— Oj, robaku ty mój, mizerny robaku! — mówiła. — Lepsza by tobie śmierć, niż takie życie...

Umilkła i zadumała się, kiwając głową.

Upłynęło znów kilka dni. Jednej nocy obudziła Hankę.

— O la Boga, Hnuś! — rzekła. — Tak mi ino coś szepcze, a szepcze, coby Jaśka uśmiercić...

— O... co też to Michalakowa wygaduje! — odrzekła dziewczyna. — Albo to Michalakowa nie matka, żeby zaś takie rzeczy wygadywać! Niech ino Michalakowa krzyżem świętym się przeżegna i śpi. To tak złe do człowieka okazji szuka..

Przeżegnała się kobieta, nie usnęła wszakże i ciężko stękając, przewracała się na garści barłogu. Jasiek przez sen piszczał, jakby duszony.

I znów przeszło dni kilka, z których każdy był nową męką i nową nędzą dla tej matki i dla tego dziecka. Kobieta ledwo nogi powłóczyła za sobą, dziecko zapuchło na twarzy.

— Hanuś — rzekła raz Michalakowa z wieczora — połóż ty chłopaka od swojej strony, bo mnie złe spać nie daje, ino żeby go uśmiercić i

uśmiercić... Co jego za życie takie z tym kalectwem, albo i moje z nim?... Ani ja roboty, ani ja łyżki strawy...

— W imię Ojca i Syna! — rzekła Hanka. — Niech ino Michalakowa da tu do mnie chłopaka, a jutro do księdza idzie, wyspowiada się, to złe odstąpi.

Ale w nocy Michalakowa nagle się ze snu zerwawszy, na barłogu siadła.

— Jezus, Marja, Józef ratuj duszę moją!... — jęknęła głucho,i znów: — Jezus, Marja, Józef...

Nazajutrz, kiedy dziewczyna do roboty poszła, wstała Michalakowa, umyła swego Jaśka, rozgarnęła mu włosy na jego ciężkiej, giboczącej się na obie strony głowie, odziała go, przeżegnała i wygrzebawszy z barłogu skórkę chleba, dała mu ją w rękę. Czyniła to wszystko z jakimś cichym pospiechem, bez słowa, jakby odbywając konieczną i bardzo pilną pracę, a kiedy dzieciak chleb jeść zaczął, rzuciła się krzyżem na wilgotną ziemię szopy i biła o nią czołem. Głuchy jęk szedł z jej piersi zamiast pacierza, a załamane i wyciągnięte nad głową ręce podnosiły się i opadały ciężko, jakby w mocowaniu się wielkim, śmiertelnym...

Jasiek tymczasem zjadł chleb i piszczeć zaczął. Wtedy podniosła się kobieta i uderzyła się trzy razy w piersi, mówiąc: Boże, bądź miłościw mnie grzesznej... Poczym przeżegnała się, wzięła chłopaka na ręce i wyszła w pole.

Tegoż dnia miasteczko całe przerażone zostało wiadomością, że jedna z "pobytówek" utopiła dziecko w glinianakch. Sprawiedliwość wszakże pocieszała się tym, że dzieciobójczynię, dawniej już notowaną jako niepoprawną, ujęto na miejscu zbrodni i miano do głównego więzienia odstawić.

Kiedy po wzięciu Michalakowej pan Majcher Kapuza, cechmistrz stolarskiego kunsztu i starszy bractwa "Miłosiernego Serca Jezusowego", a obecny chlebodawca Hanki, dowiedział się, że dziewczyna w jego szopie na starym ogrodzie razem z dzieciobójczynią sypiała, uczuł się tym niesłychanie na swoim brackim honorze dotkniętym i wypędził Hankę natychmiast, wprost od miski, do której właśnie w południe na ziemi głodna siadła i w której już nawet łyżkę umaczać zdążyła. Wypędzenie to wszakże nie naraziło Hanki na poszukiwanie innej roboty, tudzież innego barłogu, gdyż ledwo wyszła za wrota, spotkała się ze strażnikiem, który ją do ratusza zabrał.

Potrzebowano jej tam.

Wnioskowano słusznie, że kiedy sypiała razem z Michalakową, to niezawodnie musi coś i o tym utopieniu dziecka wiedzieć. Wprawdzie matka nieszczęśliwego Jaśka przyznawała się do wszystkiego sama, krzycząc i lamentując przeraźliwie, bijąc się w piersi, wzywając miłosierdzia boskiego i głową tłukąc o ziemię. Wszelako mogły tu zachodzić jakieś "okoliczności", a okoliczności, jak wiadomo, zmieniają wszystko. Hanka szła spiesznie i bystro patrzała przed siebie mętnym, jakby nieprzytomnym wzrokiem. Chwilami zdawało jej się, że idzie przez wodę, to znowu, że ma nogi z drewna, to że jest noc czarna, to znowu żal jej było, że nie zjadła choć parę łyżek jagieł. Ot, mąciło jej się w głowie poprostu.

Tymczasem nieboga Jasiek leżał na brzegu glinianki odęty i siny, w umazanej rudym błotem koszulinie, którą już słońce wysuszyć zdołało i z przerażeniem w szklistych, wypukłych oczach, których śmierć nie zdołała zamknąć. U jego cienkich nóg i rąk plątało się wodne zielsko, na którym błyszcza-

ły jeszcze gdzieniegdzie jasne krople wody. Nad wielką głową jego zwijały się i rozwijały z błyskawiczną szybkością czarne jaskółcze wianki, a konik polny ćwierkał mu w samo ucho swoją jednostajną, usypiającą piosenkę. Nie słyszał tego wszakże nędzny Jasiek, z wielkim jakimś zdumieniem patrzący się w samo słońce.

Tego ranka pozajmowano w szkodach mnóstwo bydła, źrebiąt i gęsi bez liku, gdyż pasące je dzieciaki zbiegły się wszystkie w jedną kupkę i przypatrywały pilnie małemu topielcowi. Starszych widzów nie brakło także. Kilka mieszczanek przypomniało sobie nawet, że już tego dzieciaka widziały, jak z nim matka chodziła, o robotę prosząc.

Ale ktoby tam, moja pani, robotę takiej dawał... — mówiła jedna.

— To się wie... — powtórzyła druga, wzruszywszy ramionami.

— Dzieciaczysko pokrakowate jakieś, a takie znarowione, że się baby puścić nie chciało.

— Oj, pozbyła się go, pozbyła, moja pani!

— To ci matka! — dodała inna, kiwając głową.

— Suka, nie matka!...

— Że też to Bóg miłosierny na świętej ziemi trzyma i nagłą śmiercią nie skarze!

Powzdychały jeszcze chwilkę, potym ta i owa do domu wróciła. Ale w drodze pod samym miasteczkiem, pomiędzy pierwszym jego szynkiem a letnim "barakiem", przed którym żołnierze czyścili konie, znów trafiły na zbiegowisko jakieś. Na ulicy, w kurzawie, którą podnosiły jadące wozy, leżała młoda dziewczyna. Jedni mówili, że pijana, inni, — że ma "choróbkę". Ktoś widział ją świtem, jak się pod barakami włóczyła, jak w szynku piła, jak potym wy-

biegła z niego i, nagle się zakręciwszy na miejscu, padła, parę razy podrzuciła ciałem, wyciągnęła się i zesztywniała jak drewno.

Istotnie, leżąca dziewczyna twarz miała ciemnoczerwoną, pianę na ustach i dziko zmrużone oczy. Ktoś litościwy rzucił jej chustkę na twarz.

W tej chwili właśnie prowadzona do ratusza Hanka nadeszła i w tył się cofnęła.

— Mańka — szepnęła, rzuciwszy okiem na brudną, w szmaty potarganą różową uknię i sterczące z pod niej stopy drobne.

Odwróciła głowę, żeby ją zobaczyć raz jeszcze, ale strażnik ''nie za tym dziełem'' był wysłany, więc dał jej raz w kark i poszli dalej.

W ratuszu, w głównej sali, pusto było i cicho. Muchy tylko brzęczały po zakurzonych szybach, a zająkliwy kancelista, rozparłszy się w burmistrzowskim fotelu, ćmił lichego papierosa i marzył. Pora była obiadowa, mógł więc to czynić tym swobodniej, że już przed chwilą spożył dwa serdelki i trzy bułki, które, w oczekiwaniu na prezydenturę i polędwicę, łykał tymczasem... bez zająknienia.

Przybycie strażnika i prowadzonej przez niego dziewczyny spotęgowało jeszcze błogi nastrój duszy kancelisty. Bądź co bądź, był on tu w tej chwili najwyższą i jedyną władzą. Kiedy więc Fedorenko, wsadziwszy głowę do drugiego pokoju i przekonawszy się, że tam niema nikogo, mruknął półgłosem, że dziewczynę zamknąć chyba tymczasem będzie musiał: — Do ko... ko... ko...mórki z... z... z... nią! — wykrzyknął kandydat na burmitrza, nie chcąc stracić jedynej może sposobności wydania urzędowego rozkazu, a zarazem próbując powagi i głosu.

Próba wypadła świetnie.

"Ko... ko... ..." i "z... z... z..." szeroko rozległo się po pustej sali, a Fedorenko pchnął dziewczynę przed sobą do sieni.

Kancelista pozostał w fotelu sam, z piersią wzdętą, brwią zmarszczoną, dyktatorskim giestem, którym tylko co rozrzucił po ziemi pudełko stojących na biurku burmistrza zapałek i pałającym nieograniczoną pychą, ku drzwiom zwróconym spojrzeniem.

W tej chwili wszakże drzwi się te otwarły, a w progu stanął pan sekretarz. Kancelista zerwał się, schylił, i zaczął zbierać po podłodze rozrzucone zapałki.

Pan sekretarz niewiele się odmienił.

Taż sama urzędowa maska obojętności na twarzy, ta sama żółta i niezdrowa cera, też same wydęte wargi i czerwone u powiek obrączki

Wszedł, drzwiami trzasnął i nie spojrzawszy nawet na kancelistę, stojącego właśnie na czworakach pod biurkiem zwierzchnika, do swego pokoju się zwrócił.

Strażnik wpuścił za nim Hankę i drzwi zamknął.

W jednej chwili oblicze młodego urzędnika zmieniło się do niepoznania. Płomień po nim przeleciał, potym chmura, potym znów płomień, a płaska twarz jego z grubym, zadartym nosem i wydatnymi szczękami zrobiła się podobna do czerwonego, dymiącego żużla.

Przez chwilę milczał i czytał coś, stojąc ku oknu zwrócony. Widocznym było, że sili się, aby opanować właściwe sobie, nerwowe, targające ruchy. Usiłowania te wszakże były daremnymi.

Ręce jego z chrzęstem gniotły trzymany papier, mięśnie policzków i kąty ust drgały. Zwrócił się

wreszcie do Hanki i objął ją długim, jaskrawym spojrzeniem.

Taki popadłaś się do mnie?... a?... — przemówił swoim skrzypiącym głosem, mrużąc pałające oczy.

Dziewczyna patrzyła ponuro w ziemię.

— Tak na nic, znaczy, było tobie uciekanie ... I do kogo ty uciekała?... a?... Do kochanka uciekała?...

Dziewczyna milczała.

— Tak cóż?... Gadać nie umiesz? Niemową się zostałaś ...

Przysunął się bardzo blisko i pochylił nad nią, owiewając ją gorącym oddechem.

— Tak gadaj zaraz! Do kochanka uciekała?... a?... — mówił przerywanym, świszczącym podobnym do stłumionego chichotu głosem.

Dziewczyna krokiem w tył się cofnęła i plecami o drzwi wsparła.

Chwycił ją za ramię i zaklął wściekle:

— Stój, ty taka!... Czort tu ciebie dał, kukło ty!... Czort ciebie!... Na wolności nie chciała... Tak w kozie kochanka nie będzie... Ja będę!... ja!... ja!...

Cisnął ją ku ziemi, giął, łamał, palce jego wpiły się w jej ramię jak kleszcze. Aż nagle sam się zachwiał, pobladł, a zduszony głos jego przeszedł w niewyraźne mruczenie.

— Matko przenajświętsza... Matko przenajświętsza... — szeptała dziewczyna, zacisnąwszy na piersiach ręce, a oczy jej dziko latały po kątach, jakby szukając ratunku. Nagle puścił jej ramię, otrząsnął się i wolnym krokiem ku oknu obrócił. Chwilkę tak stał, odgarniając włosy i wodząc ręką

po twarzy, jakby chciał z niej zetrzeć ślady niedawnego wzburzenia, splunął potym, przeszedł się po kancelarji i nie spojrzawszy na dziewczynę, znów pod oknem stanął. Hanka trzęsła się jak w febrze, oczy jej pociemniały jak dwa zgaszone węgle, ząb o ząb szczękał głośno.

— Fedorenko! — zawołał pan sekretarz zmienionym głosem.

Strażnik wszedł i stanął wyprostowany, czekając rozkazu.

— Zabrać ją i wsadzić! Do sprawy będzie potrzebna — rzekł pan sekretarz, nie odwracając się od okna.

Fedorenko dwa palce do czoła przyłożył i popchnął dziewczynę do wyjścia. Kiedy się drzwi za nimi zamknęły, rzucił się pan sekretarz na krzesło, przymknął oczy i przechyliwszy się na poręcz, westchnął ciężko. Na twarz jego wybiegł wyraz wielkiego niesmaku i znużenia. W tej chwili był to prawdziwie godny pożałowania człowiek.

Hanka szła przed strażnikiem wolnym, chwiejącym się krokiem, z głową posępnie ku ziemi zwieszoną.

— Nu! Nu!... — wołał następując na nią, Fedorenko, ale zdawało się, że nie słyszy tego. Plecy jej i ramiona wzdrygały się chwilami, jakby ją przejmowało wielkie jakieś zimno. W kancelaryjnej sali nie było jeszcze pana prezydenta, ale już zgromadzać się zaczęli interesanci, między którymi porządek czynił Maczuski.

Naraz dziewczynie oczy zabłysły. Schyliła się i podniosła coś z ziemi, zanim strażnik, którego woźny tabaką częstował, ruch ten zauważył. Patrzyła teraz na ziemię pilnie, a po jej śniadej twarzy przelaty-

wały krwawe łuny. Nim doszli do progu, schyliła się po raz drugi. Fedorenko podnosił w tej chwili rękę do nosa i oczy mrużył, szykując się do dyskretnego kichnięcia.

Kiedy dziewczyna z ratuszowego gmachu wyszła i na świat boży spojrzała, wydało jej się, że wszystkie dachy są w ogniu i że wielka łuna nad miasteczkiem stoi. Krzyknęła przeraźliwie i zatoczyła się na Fedorenkę, ale wnet, dostawszy od niego kułakiem w bok, oprzytomniała.

— Nu, nu, ty co?... — huknął strażnik. — Opiła się?... pijana?...

Jęknęła głucho dziewczyna i szła dalej spiesznie.

...Oj, opiła się, opiła piołunu, ziela gorzkiego... Oj, opiła się łez gorzkich i mętnej, wiślanej wody...

Strażnik klął ''didkiem'' i spluwał przez zęby. Był zły. Obiadu dotąd nie jadł przez tę ''nawidzoną'', domyślał się przytym, że Pasecki pisarek akcyzny, przy żonce jego, jak zwykle, siedzi, siedzi a szepce Kiedy więc doszli do komórki, pchnął gwałtownie dziewczynę pięścią w plecy dla ulżenia sobie i hałaśliwie drzwi na kłódkę zamknął.

Hankę ogarnęła ciemność. Przeleciawszy, sama nie wiedząc jak, przez próg wysoki, stała chwilę wpośrodku izby oszołomiona, z rękami wyciągniętymi przed siebie. Po chwili dopiero zobaczyła trochę światła, wpadającego przez szczelinę deszczułek, którymi zabito okienko Wtedy obejrzała się po kątach. Niewiele się tu zmieniło. Deskę tylko nową dano w ścianie, stojąca pod nią beczka rozsypała się, a klepki i obręcze leżały na tym samym miejscu. Dziewczyna patrzała na to wszystko jakimś dziwnie tępym, osłupiałym wzrokiem. Naraz uczuła wielkie

zmęczenie i rzuciwszy się na leżącą w kącie garść słomy, twardo zasnęła.

Spała tak parę, może kilka godzin. Kiedy się obudziła, wszystkie kości ją bolały, w skroniach jej biły tętna, a zeschły język nie pozwalał przełknąć śliny. Siadła na słomie i szeroko otwartymi oczyma patrzała w ciemność. Ostatni, skośny promień zachodzącego słońca wpadł przez szczelinę u okienka i odbił się krwawo na przeciwległej ścianie. Wtedy dziewczyna, jakby przypomniawszy coś sobie, zerwała się nagle i zaczęła czegoś szukać za pazuchą. Przysiadła potym na ziemi, zgarnęła barłóg z pod siebie i poniósłszy go w kąt, gdzie pod ścianą leżały klepki rozsypanej beczki, zaczęła je starannie na krzyż układać, jak to czynią kobiety wiejskie, rozpalające ogień na kominie. Czerwony promień słońca ślizgał się po ścianie, przyświecając robocie dziewczyny. Podniosła się teraz i poszła do drugiego kąta, gdzie leżały wióry od składanego tutaj dawniej drzewa. Zebrała je, podsypała pod ułożone na sobie klepki i zaczęła zwijać w pęczki słomę z barłogu. Chwilami przestawała, jakby zmęczona, i wypoczywała, dysząc ciężko. Nareszcie, kiedy wszystko skończyła, sięgnęła na piersi za grubą koszulę i wydobyła dwie podniesione w kancelarji magistrackiej zapałki. Pierwsza z nich zapaliła się tylko modrym płomykiem i zgasła.

Hance zaczęło bić serce jak młotem.

— Jezu... Jezu... Jezu... — szeptała zbielałymi z przerażenia usty, zapalając drugą i podsuwając pod nią zwinięty pęczek słomy.

Ogień chwycił. Sine płomyki zaczęły pełzać po słomie. Dziewczyna odetchnęła głęboko. Poczym z najwyższą ostrożnością podłożywszy palący się wiecheć pod wióry, schyliła się i zaczęła dmuchać na

nie. Twarz jej, oświecona wzmagającym się płomieniem, zapalała się, to znów gasła. Jakiś twardy, dziki, nieubłagany wyraz wybijał na nią zwolna.

Skośny promyczek słońca ześliznął się po ścianie i zagasł.

Ognisko rozgorzało szybko, napełniając izdebkę lekkim, sinym dymem. Czerwony płomień biegł w górę, chwytając powiewające od szybszego ruchu powietrza pajęczyny, wielkie pająki zaczęły biegać po ścianach, wiszące od pułapu długie źdźbła słomy, naładowanej na strychu komórki,pełzały sinymi iskrami i gasły. Wkrótce zaskwierczały smolne deski ściany, pod którą paliło się ognisko, a roztopiona żywica zaczęła po nich spływać w bursztynowe sople.

Podniosła się wtedy Hanka w pół ciała i na klęczkach przysiadłszy, patrzyła posępnie w ognisko. Potym zaczęła się kiwać w tył i naprzód, jakby w żałosnym rozpamiętywaniu, załamawszy ręce na kolanach.

Niepocieszone jej oczy patrzały w jakąś przeszłość daleką, daleką... Widziała może ubogi warsztat rodzinny, ojca, matkę, brata, Piotra... Nagle pierś jej się zatrzęsła pod grubą koszulą, usta zadrgały, opadły powieki, a z pod nich wybiegły dwie łzy wielkie, jasne i potoczyły się po znędzniałej twarzy.

Raptem podniosła się, chwyciła za piersi. Dym gęsty i żrący wypełniał komórkę całą. W głowie jej się kręciło; pobiegła do okienka i zasłoniwszy twarz rękami, na ziemię padła. W tej chwili właśnie z trzaskiem zerwała się część przetlonego pułapu, czerwony płomień na dach się wyrzucił, a ognisko buchnęło gwałtownie, zasilone przypływem świeżego powietrza.

Napół zduszona i oślepiona dymem dziewczyna porwała się raz jeszcze z ziemi, jak obłąkana zaczęła biedz do drzwi chciała wołać ratunku, ale głosu dobyć już nie mogła i runęła jak kłoda u proga.

Jednocześnie krzyk i gwałt dał się słyszeć z zewnątrz.

— Gore! Gore!... — krzyczano przeraźliwie.

— Pali się! Gore!... Ratujcie!...

Hanka słyszała jeszcze, jak się te krzyki zbliżały, jak wyważono drzwi komórki, poczym stała się nad nią wielka, wielka cisza.

IX.

Przed starym Arsenałem bzy cudownie zakwitły tej wiosny. Wielkie ich, pięknie okrzesane i symetrycznie zasadzone krzaki osypane były jasno-liljowymi gronami kwiatów, których silna, upajająca woń rozchodziła się szeroko.

Pod nimi w gwiaździstych i owalnych klombach bujały irysy błękitne, a wśród srebrnej zieloności traw włoskich wychylały się gęsto główki zroszonych stokroci i wielkie, aksamitne bratki Powietrze pełne było świegotu i ożywczego chłodu. Na wysypane żwirem ścieżki młodociane kasztany i akacje rzucały drżące, lekkie cienie, a delikatne spireje zakrywały jasną zielenią swych drobnych liści i białością puszystego kwiecia pleśń wilgotną, której wielkie, rude plamy występowały nazewnątrz żółtych murów, jakby zdradzając ich wewnętrzną zgniliznę.

Na ulicy była cisza zupełna, godzina może czwarta rano, kiedy niska, sklepiona brama Arsenału po której obu stronach rozciągał się ów wirydarz

kwietny, zaskrzypiała na swoich rdzawych zawiasach i otwarła się z głuchym łoskotem.

Strażnik, który ją odemknął, był to niski, zeschły starowina, z białymi jak mleko wąsami, po sapersku nad górną przyciętymi wargą, w krótkim spencerku, drepczący na cienkich, obutych w miękkie pantofle nogach. Drżące jego ręce miały na sobie czerwone wełniane mitynki, jakie niekiedy noszą stare kobiety, takiż szalik okręcał jego wątłą szyję. Głowę miał siwą, obnażoną, trzęsącą się ustawicznie, a grzbiet mocno wypukły zgięty był trudami i wiekiem.

Otworzywszy z wysileniem oba wierzeje bramy, starowina stanął przed nią, nosem wiatru pociągnął, spojrzał w górę na rozbiegające się obłoczki białe i mruknął:

— Będą dziś mieli pogodę, kanalje...

W tej chwili wzmógł się szczebiot jaskółek, które nad samą bramą ulepiły gniazdo.

Odwrócił się stary, podniósł trzęsącą się głowę, i przysłoniwszy ręką czoło, patrzał na zwijające się ptaszęta.

— Kanalje!... — mruknął z uśmiechem zadowolenia. — Niedługo się już wywiodą...

Podreptał potym do sztachetków kwietnika, szeroko rozstawił cienkie, drżące nogi, ręce w tył założył na pochyłym grzbiecie i z wielkim zajęciem przypatrywał się pełzającemu po żwirze ślimakowi, który z jakiegoś nocnego bałamuctwa na grządkach stokroci, pod liście irysu powracał, wystawiwszy delikatne i ruchome różki na świeżość poranku.

— Kanalja!... — szepnął stary z cichym chichotem, od którego rozbiegły się wszystkie zmarszczki jego bezkrwistej twarzy.

Stał tak jeszcze, kiedy z wewnętrznego podwórza rozległo się echo miarowego pochodu, a z pod sklepionej bramy wyszło na ulicę kilkunastu żołnierzy z karabinami, którzy rozstawiwszy się na lewo i na prawo, utworzyli gęsty szpaler. W chwilę potym sklepienie zadudniło zmieszanym odgłosem ciężkich, tłumnych kroków, a z bramy zaczęli się wysypywać aresztanci, najpierw mężczyźni, potym garstka kobiet. Za kobietami szło jeszcze kilku żołnierzy, a na ostatku oficer z obnażonym pałaszem w ręku. Była to partja pędzonych na Sybir skazańców.

Kiedy wyszli, stojące szpalerem wojsko otoczyło ich dokoła i zaczęto się szykować ''w pochód''.

Nie było to łatwym. Aresztanci, jak dzieci, szturkali się, ociągali, popychali, przypatrując się to skaczącym po ulicy wróblom, to kwiatom których woń wciągali nosami hałaśliwie, kichając przytym jakby na komendę.

Jeden z nich stroił żarciki z trzęsącego się starowiny namawiając go na wspólną ''frajdę'', inny śmiał się idjotycznym, przykrym śmiechem, nie mogąc, czy nie chcąc stanąć prosto w linji. Niektórzy, już ustawieni odwracali się z konceptami do kobiet i znów psuli porządek, a jakiś dowcipniś zgarniał niby całą garścią łzy, z pożółkłej twarzy i ciskał je z rozmachem o ziemię, szlochając na różne tony.

Kilku tylko zachowywało się spokojnie lub z apatyczną obojętnością. Oficer — szczupły, delikatny młodzieńczyk — klął, czerwienił się, zgrzytał, przebiegał z jednej strony kolumny na drugą, usiłując zaprowadzić ład w tym zamieszaniu, ale mu się to jakoś długo nie udawało.

Tymczasem wschodzące słońce rzuciło na przeciwległe mury pierwsze złote blaski. Jeden z milczą-

cych aresztantów odkrył głowę i przeżegnał się. Kilku innych uczyniło toż samo, reszta ucichła. Wtedy oficer zakomenderował i ruszono naprzód.

Przed Arsenałem został tylko podwórzowy kundel, na którego długo oglądał się jeden z pędzonych, i stary odźwierny, który chwilkę stał, patrząc za nimi i trzęsąc siwą głową, aż kiedy w jednym ze staromiejskich dworów zabrzmiała sygnaturka, zawrócił się i szepcąc pacierze, podreptał do swojej komórki.

Ulice były jeszcze puste. Gdzieniegdzie tylko otwierała się skrzypiąca brama, a w niej stawał stróż z miotłą w ręku i przypatrywał się pędzonej partji; gdzieniegdzie wozy z pieczywem dudniały głucho, a spieszące do miasta mleczarki szły po dwie, po trzy, z uwiązanymi na plecach koszami.

Niektórzy z więźniów spoglądali w okna kamienic, ale okna te były zamknięte i puste. W miarę pochodu coraz ciszej robiło się w gromadce skazańców; zrazu odezwał się ten i ów, potym jakaś zaduma ogarnęła ich wszystkich zwolna.

Wyszli na Zjazd. Przed nimi cała w złotych i różowych ogniach wschodu toczyła się Wisła-matka, marszcząc lekko wysokie, wiosenne swe wody; drobne mewki z szeroko rozpostartymi skrzydłami uderzały w nią białą piersią, nagle, błyskawicznie, jakby strzały srebrne, na przeciwległym brzegu śmiała się zieleń majowa. Gdy weszli na most, który się rozciągał przed nimi długą, ciemną perspektywą swoich krat żelaznych, oficer skinął pałaszem, żołnierze otoczyli ściślej aresztantów, a ozłocone słońcem bagnety błysnęły tuż nad nimi. Ten i ów spuścił głowę i szedł w milczeniu; kobiety oglądały się za siebie na silnie odcięte od błękitu wieże kościelne i dachy miejskie, wzdychając i bijąc się w piersi. Kil-

ka z nich szlochało zcicha. A wysoki brzeg wiślany od strony miasta powiewał za nimi białymi płachtami dymów, jakby ich żegnając, a nadwodne jaskółki śmigały tuż, tuż, jakby licząc te głowy stracone.

Zaroiło się na "Punkcie zbornym" za przybyciem więźniów. Przedewszystkim rozdzielono ich na dwie części: mężczyzn zabrano do kucia, a kobiety zapędzono ko kancelarji, gdzie miały być zapisane w "kontrolną" księgę.

Niewiele ich było. Ze sześć coś, czy ze siedm, wszystkie odziane w siwe więzienne kaftany i takież spódnice.

Pierwszą, jaką z kolei zapisywano w księgę, była Blacharzówna. Ostatnie wypadki znacznie ją zmieniły. Było to jakby widmo tej dawnej, pięknej dziewczyny, do której paliły się oczy pana sekretarza. Wychudzona jej postać zdawała się być wyższą i prostszą, zczerniałe wargi nie zakrywały już białych, błyskających wpośród śniadej twarzy zębów, na pożółkłym czole zarysowała się bruzda głęboka, jakby od nagłego, rozbudzonego natężenia myśli, a wielkie, nieruchome źrenice patrzyły przed siebie z przerażeniem i jakąś nieopisaną zgrozą.

Kiedy służbowy oficer głośno jej nazwisko przeczytał, a dziewczyna wystąpiła z gromadki na środek sali, pisarek, który, ćmiąc papierosa, stał w progu drugiej izby, obrócił się nagle i spojrzał jej w oczy.

Dziewczyna spojrzała także i targnęła się gwałtownie w tył, jakby do ucieczki. Nie uciekła wszakże, a dzikie jej oczy, zawieszone z jakąś chciwością na twarzy pisarka, przygasły i zaszły mgłą wilgotną. Mimowolnym ruchem podniosła wychudłe ręce do ostrzyżonych włosów, które przykrywał więzienny

czepiec biały, a na jej twarz wybiły ciemne rumieńce z pod serca gdzieś z ostatka krwi żywiącej. Opuściła pociemniałe powieki i stała tak — widmo, wywleczone po trzykroć z więzienia i mogące się jeszcze rumienić.

Tymczasem pisarek zadarł wysoko nosa, wydął policzki i przeszedł tuż koło niej, skrzypiąc świecącymi butami i puszczając jej kłąb dymu w twarz samą. Taką miał minę, jakby chciał pokazać, że niczego się nie boi. Istotnie, czego się miał bać?...

Hanka stała ze schyloną głową, usta jej drżały, a siwy kubrak aresztancki podnosił się i opadał szybko na jej wyschłej piersi. Nie śmiała teraz spojrzeć, gdy przechodził tak blisko, że się prawie otarł o nią, ale poznała go, tak jak i on ją poznał. Był to Piotr, pan Piotr, ex-kochanek dziewczyny, piękny i słuszny kawaler w wiosennej żakietce i niedbale związanym krawacie, pan Piotr, któremu nareszcie losy oddały sprawiedliwość i powróciły godność "urzędnika". Tylko że teraz nie urzędował, jak dawniej, w obskurnej jakiejś gminie, ale w Warszawie, gdzie i widoki na przyszłość lepsze, i życie, bądź co bądź, weselsze. Wprawdzie był on obecnie tylko "wolnonajomnym", ale ufał swojej gwieździe, która, jak dotąd, wcale mu nieźle służyła.

Tuż przy Hance stała Mańka Czerkas, po ostatniej ucieczce z pobytu znowu u Bamblowej chwycona. Nie miała ona już na sobie swojej różowej sukni, ani rozpiętego do połowy stanika, tylko ciężką, burą spódnicę więzienną i wielki kaftan, pod którym ginęły jej gibkie biodra i ledwo rozwinięta pierś drobna. Piękne jej, grube warkocze spadły pod nożyczkami w Arsenale, a biały płócienny czepiec wchodził jej głęboko na czoło, odkrywając z tyłu złote kosmyki wijących się po karku włosów.

Dziewczyna wsunęła ręce w rękawy i przestępowała z nogi na nogę, jakby ustać nie mogąc w grubym aresztanckim obuwiu. W zmizerowanej jej twarzy nie widać było skruchy, ani żalu. Przestrach tylko malował się chwilami w zamglonych, po izbie całej biegających oczach.

— Hanusia, siostrzyczko! — szepnęła do stojącej obok siebie Blacharzówny. — Jak Bozię kocham, tak wszystkiemu ta Walera winna. Żeby ona z piekła nie wyjrzała!.... Jak ci się zjednała z łapaczami, tak nie było nijakiego odporu. Po wszystkich dziurach ci przewąchiwała, gdzie ino która. Żeby nie ona, piekielnica, tobym do dziś dnia u Bamblowej siedziała. Ale jak ci ten Calik, choroba, zaczął za mną latać, tak ci się Walera rozżarła, że strach...

Hanka patrzyła przed siebie, jakby nie słysząc Mańki.

W tej chwili właśnie powracał od progu pan ''wolnonajomny'', a dziewczynie zdawało się, że ziemia się rozstępuje pod nią.

— A i Bamblowa szelma — szeptała dalej Mańka — To ci powiadam siostrzyczko, głodziła mnie baba, zamykała, pókim jej rubla dziennie nie oddała. A skąd mnie ruble zaraz brać? Albo mi to rublami kto sypał ... A tu, żeby ci nie wiem jak, to ani się gdzie posięgnąć bez meldunku. A o tym zegarku, Hanusia, nieprawda!... Żebym tak zaraz trupem padła, jak nie łżę... Papierek mu ino wyciągnęłam z kieszeni, żeby babie gębę zatkać... A Walera zaraz ci się wysforowała... Jakem ci ją zobaczyła, fiu!... Gęba taka... kołnierz u kaftana aksamitny, spódnica z falbaną... Ino szur, szur... ani do niej przystępu... Choroba!...

Umilkła na chwilę i zakaszlała się mocno.

— A niech ta! Tyle ich tego, co mnie wzięli. Albo ich tam mało inszych zostało? Julka Mikusówna już blisko rok siedzi, ady siedzi.

Urwała, bo zapisywano ostatnią aresztantkę. Musiały jednak czekać dość długo, zanim zakuto i wyprowadzono mężczyzn.

Przez godzinę może albo i dłużej słychać było miarowe uderzenia młotów, aż wreszcie skończono robotę, a w sieniach rozległy się kroki wleczonego po ziemi żelaztwa. Parami szli teraz skazańcy — po dwuch wspólnym łańcuchem na ręce zakuci; prócz tego każdy miał na nogach osobne, na swój wyłączny użytek przeznaczone kajdany.

Byli to ci sami nędznicy, których czasem widzieć można prowadzonych przez ulice miasta w siwych więziennych kapotach, w szerokich, płóciennych, wokoło wychudzonych nóg wiewających spodniach, z pogolonymi głowami, w okrągłych bez daszków czapkach, które jednym sterczą na czubku nieregularnych, guzowatych czaszek, innym wpadają głęboko na wąskie, klinowate czoła, aż po latające lub martwe, osłupiałe oczy.

Były to te same twarze znędzniałe, obrzękłe lub przyschłe do kości, z surową, ziemistą cerą, na które patrzymy z ciekawością, wstrętem lub przestrachem, gdy nam migną na jakim zakręcie wśród czterech karabinów, idjotycznie tępe lub wykrzywione cynicznie. Tak, byli to ci sami nędznicy.

Tylko że teraz na tych twarzach odbił się szczególny wyraz. Idjotyczna tępość ustąpiła płaczliwemu przestrachowi, a cynizm — zaciętości ponurej.

Paru zaledwie z zakutych miało spokój i powagę na twarzy. Wyszli oni pierwsi krokiem pewnym, bledsi tylko nieco, niż kiedy ich tu przypędzono.

Oficer wydał rozkaz i zaczęto aresztantów ustawiać w kolumnę.

Podniósł się wtedy płacz i lament wpośród tych, co tu przyszli, aby pędzonych pożegnać i opatrzyć czym kto mógł na drogę.

Najbliżej kobiet podszedł obdarty nędzarz z pijacką twarzą i zamglonym wzrokiem. Wyłysiała jego głowa, nad której uszami tylko sterczały kępki spłowiałych włosów, trzęsła się na długiej, cienkiej szyi; nogi pod nim drżały, a jakieś wewnętrzne łkania wstrząsały mu piersi, okryte brudną i porozrywaną koszulą. Trzymał on za ręce dwie wychudzone i bose dziewczynki, których jasne, dziecięce oczy patrzyły dokoła z dziwem i ze strachem.

Przenikliwy krzyk wybiegł z gromadki kobiet na widok tych dzieci. Był to krzyk Michalakowej, która napół oszalała rzuciła się do nich, a kiedy ją żołnierz odepchnął, na ziemię padła i nieludzkim wybuchnęła rykiem.

— Mama!... mama... — odezwały się cienkie głosy dziewczątek. — Czy mama znów odchodzi?

Nędzny pijak silniej jeszcze trząść się zaczął, a po jego nieogolonej twarzy potoczyły się łzy grube i ginęły w szczeciniastej brodzie.

Kolumnę formowano z pospiechem. Ci, co przyszli, zaledwie mieli czas oddać zawiniątka z chlebem, z bielizną, przemówić dwa słowa, uśmiechnąć się, pożegnać.

Ci, których nikt nie żegnał, udawali obojętność, lub patrzyli ponuro w ziemię.

Jeden z młodych skazańców odwrócił się od matki, która go żegnać przyszła i zacisnąwszy zęby, klął przez nie. Inny sam do pospiechu naglił. Największa część zachowywała się apatycznie, kobiety szlochały.

W otwartych oknach, we drzwiach kancelarji, cisnęli się ciekawi Pomiędzy nimi stał z bezczelną twarzą i papierosem w zębach pan pisarek, robiąc głośne uwagi o stojących w kolumnach dziewczętach i zerkając ku Hance. Właśnie musiał coś dowcipnego powiedzieć, bo cała kupka jego słuchaczy wybuchnęła wesołym śmiechem, kiedy nagle Mańka Czerkas obejrzała się i ująwszy pod boki, pokazała im język jak długi.

Śmiech głośniejszy jeszcze przyjął to zuchwalstwo dziewczyny.

Wtym zaturkotały wozy, na których leżały zawiniątka i siedzieli chorzy więźniowie. Oficer wyszedł przed kolumnę, obejrzał ustawionych, dobył pałasza i zakomenderował

Uderzono w bęben. Urwany, głuchy odgłos odbił się posępnym echem.

Jeden z więźniów odkrył głowę, inni poszli za jego przykładem.

Wtedy słońce rzuciło się złote całe na te pogolone głowy, rozjaśniając je jakąś tragiczną aureolą, a wśród głębokiej ciszy słychać było dzwoniącego w błękitach skowronka.

Ruszono

Hanka szła pierwsza z pośród garstki kobiet sporym równym krokiem. Zaciśnięte jej usta nie wydawały żadnego jęku, ni westchnienia. Tylko jej twarz męczeńską pokryła śmiertelna śniadość, a głęboko zapadłe oczy patrzyły przed siebie tępym i zagasłym wzrokiem.

Wielka, hucząca woda zawarła się ostatnim kręgiem nad jej nędzną głową.

KONIEC.